



Wiślica

Bibliotek Publiczna
266 z ul. Andrzeja 14

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV

Łódź, 27 kwietnia 1947 r.

Nr 17 (96)

Jan Aleksander Król

MIT PARCELI

List otwarty do wojewody kieleckiego Wiślicza

Drogi Wiśliczu!

Obejrzałem Jasieniec. Przyznam Ci się, Jechałem przekonany, że ta „wieś wzorowa” to Twój wojewodziński gest dla rodzinnej wsi. Wcale nie rzadkie pomieszenie



Budowa szosy, łączącej Jasieniec ze Skarżyskiem i Iłżą.

rzeczy: serce, ambicje i fundusze. Ale spokojnie w rękach Bohdana Beldowskiego. Wiedziałem, że działa tu z Twojego ramienia. Również 16 lat temu zgubiliśmy się sobie z oczu. Miałem wówczas niespełna 16 lat. Był starszy o kilka lat ode mnie Absolwent seminarium nauczycielskiego. Rozumieliśmy się poprzez Żeromskiego. Mnie dopiero ogarniała egzaltacja Judyków, on tkwił w niej już po uszy. Był uczniem starego Kuderny, który z Galicji z Nowego Sącza, przywiózł do Kielc ducha Towarzystwa Szkół Ludowych, roboty nauczycielskiej o filantropijnym zacięciu. I Bohdan, mieszcuch, poszedł dlatego ochotnie na wieś.

Ale ten Beldowski nie podobny jest do tamtego z przed lat. Przedstawił mi żonę, chłopka na gruncie, nauczycielka. Są dzieci. Zarzut mój przyjął. Oczywiście, mam rację: Wojewoda pomaga swojej wsi. Komuż bardziej chciałby pomóc? Popatrz! Wieś jest zelektryfikowana, w części zradionizowana, wykańcza się szosę, wielki gmach dwupiętrowy wyciągnięty pod strop, będzie tu szkoła powszechna i gimnazjum elektrotechniczne, powstał tartak, zakład mechaniczny, betoniarnia, baraki (na 100 osób — mogą być letniskowe), świetlica, piekarnia, ośrodek zdrowia. Dzieci 10-cioro w gimnazjach humanistycznych i zawodowych, pięcioro w szkole rzemiosła artystycznego, a do wojny nie wyszedł stąd i z najbliższych wsi ani jeden do gimnazjum. Sam Wiślicz, chłop na roli i robotnik na odkrywkach, samouctwem doszedł do egzaminu eksterna-nauczyciela, a ożenił się, mając lat 18-cie.

Ale mylisz się — mówił Bohdan — jeśli sądzisz, że Jasieniec jest „oczkiem w głowie” wojewody dlatego, że tego honor i ambicja wymagały a fundusze na to mu pozwalają. Patrz na mapę, potem pojedziemy, zobaczysz to „na oczy”. Niech Ci się zdaje przez chwilę, że nie ma Jasieńca. Co poza tym widzisz na mapie?

— Hm, co widzę? Trójkąt. Od zachodu Skarżysko, od północy Iłża (w dalszej perspektywie na lewo Radom, na prawo Lipsko, tzn. Powiśle). Od południa Wierzbnik i Starachowice. Linia Iłża — Starachowice 28 km. Prostopadła od Skarżyska, do podstawy Iłża — Starachowice, 28 km.

— Świetnie, a gdzie Jasieniec?

— Na prostopadłej do szosy Iłża — Starachowice, tuż przy niej.

— Czy jest szosa od Skarżyska do linii Iłża — Starachowice?

— No, przecież ją budujecie przez Jasieniec.

— Tak, bracie, Jasieniec zyska, ale tu nie o niego idzie, a o całą tę krainę, jakże dziwną. Tyś partyzant z Puszczy Świętokrzyskiej, która ma świetną legendę w kraju, ale nie ma puszczy. Puszcze są u nas, po 20 km marszu we wszystkie strony. Zachowały się pomiędzy tymi trzema punktami przemysłowymi: Radom, Skarżysko, Starachowice. A wiesz co te lasy kryją? Żelazo, żwir, glinę, wapień, no i drewno. Myślisz, że to wykorzystane? Nie! Trochę ruda, trochę drzewo. Ale szosy nie ma, koleżki nie ma. A patrz, poniżej Jasieńca szyby, powyżej żwirownia, która czeka na betoniarnię, a w Jasieńcu na skrzyżowaniu przemysłowych dróg — tartak. Na prawo od niego glina, i to jaka, kaflarska, ceramiczna — cegielnia, już w przygotowaniu. Pod Iłżą wapiennik. Musi tu powstać nowoczesna kopalnia. Czy wiesz, że Starachowice i Wierzbnik bardzo potrzebujące wapno, sprowadzają go z Śląska? Że do Kielc przysyłają z Poznańskiego wapno? Jak Ci się to podoba? Masz tradycję: stare firmy kopalni i gotowe drogi żelazne choćby wiodły z Paryża. A tu o 20 km jest wapno, tylko rękę wyciągnąć. Tylko kolejkę z Wierzbnika doprowadzić do Iłży, a zawadzi krótkimi odnogami o wszystkie tu bogactwa.

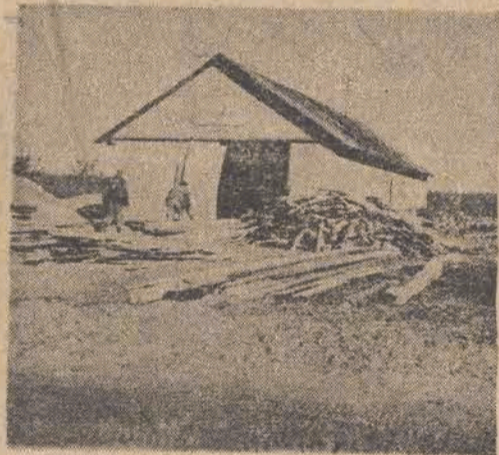
Te wsie rolniczymi, żal się Boże, stały się po karczunkach, w miarę ubywania lasów. Kiedyś przodkowie tych stąd byli smolarzami, bartnikami, myśliwcami. Tu dworów prawie nie było. Pierwsze „związki zawodowe” robotników, jeszcze w średniowieczu, to związki górników rudy. Wolni, leśni ludzie, później — wolni robotnicy. Jasieniec liczy 2000 ludzi, 300 rodzin (7 osób w rodzinie), na każdą przeciętnie wypada 4 morgi pola piaszczystego. Z czego żyją? Połowa pracuje w Iłży, Skarżysku, w Wierzbniku, Starachowicach i na szbach rud. Chodzą codziennie do pracy i po kilkanaście kilometrów.

Szosa, którą budujemy, Skarżysko — Iłża, w połączeniu z drogą Iłża — Lipsko, stanowi oś powiatu i jest jedyną arterią komunikacyjną i tranzytową z zachodu na wschód aż do Wisły. Powiśle jest gołe, stąd ruszone drzewo, betony wibrowane (na domy) krawężniki, słupy elektryczno-betonowe, kostka systemu Tylińskiego, cegła, wapno — miałyby tam zbyt i niosłyby najtańszą odbudowę. Czy Jasieniec został w Twoich oczach dostatecznie wylegitymowany? Jeśli tak, to zwróć teraz uwagę na drugie zagadnienie.

Sam mi przed laty opowiadałeś, że w Twoich stronach pod Limanową górale-chłopi dorabiali w rafineriach nafty. A z czego żyje Krakowskie na karłowatych gospodarstwach? A tu, o 3 km od Kielc jak daje sobie radę Czarnocin? Nad nim skali-sta Karczówka ze starożytnym klasztorem, a pod nią chłopci na hektarze. To oni są robotnikami w hucie i fabrykach kieleckich. Tak wygląda prowinejonalna klasa robotnicza. Dlaczego o tym mówię? W Jasieńcu, podobnie jak w Czarnocinie, można obserwować dwa zjawiska: 1) chłopu poniżej 10 ha nie wystarcza do egzystencji samo rolnictwo, 2) jego uzupełnienie produkcyjne i ekonomiczne wiąże się z miastem, z przemysłem i techniką.

Drogi Wiśliczu, a wiesz, co twierdzi prof. Górski?*) Chłop pracuje rolniczo w ciągu roku 100 dni. Niezależnie zatem od wielkości gruntu, jest produktywny tylko w jednej trzeciej w stosunku do swych możliwości i potrzeb!

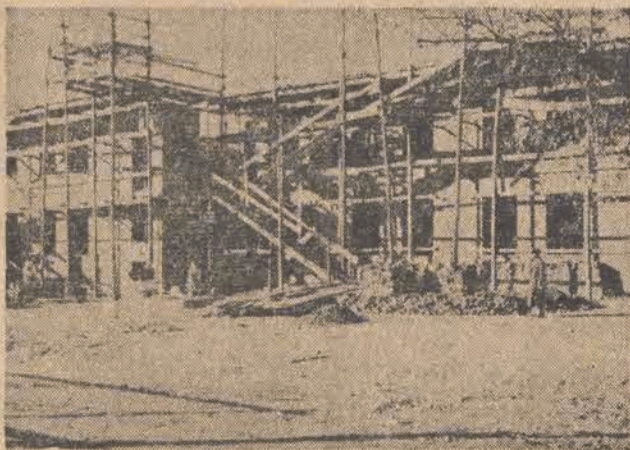
Rozumiem Bohdana, zwrócił uwagę na to, że w takim Jasieńcu została zwiększona ilościowo i rodzajowo praca rodziny chłopskiej. Bódcem stały się niedza i głód, to prawda, ale w ten sposób biedny chłop przełamał popańszczyzniany mit wsi, że „parcela jest chłopu ojczyzną”. A ten mit leży u podstaw Ruchu Ludowego, on dał początek Ruchowi. Jego symbolem przed pół wiekiem nie darmo były — sukmana i Bartosz Głowacki. Ożył wówczas Bartosz z wspaniałym Kościuszką w świadomości



Jasieniec — tartak.

wsi, jakby insurekcja rozegrała się dopiero wczoraj, choć ona „upadła” blisko wiek wcześniej. Dlaczego tak ożył? Dlatego, że w zniesieniu pańszczyzny wypełniło się to, co Manifest Polaniecki początkował: wolność ludu, jego dopuszczenie do narodu i

*)Rektor Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, prezes Instytutu Oświaty Rolniczej przy Z. S. Ch.



Gimnazjum elektrotechniczne i szkoła powszechna w budowie.

dzierżawną ziemię jemu na własność. Orły napoleońskie rozniosły prawa rewolucji francuskiej po Europie Zachodniej z większą skutecznością i w radykalniejszej postaci, niż to miało miejsce u nas, w reformach



Chłopka z Jasieńca w stroju odświętnym.

Konstytucji 3-go Maja i kościuszkowskim powstaniu. Te różnice odżyły również pod koniec 19-go wieku w chłopskim ruchu galicyjskim. Zastanawiające, że w tych latach, a nawet w pierwszych dziesięcioleciach 20-go w., żywa w pamięci rabacja galicyjska jest tylko źródłem postrachu i wstydu, że masowy bunt chłopski w Kongresówce z r. 1861 (170.000 chłopów występujących przeciw pańszczyźnie), nie urasta w legendę i składnik tradycji Ruchu Ludowego, że ksiądz Sciegienny nie przedostaje się za kordon w aureoli świętego ludu. Dlaczego? Dlatego, że zniesienie pańszczyzny, acz następuje u nas z opóźnieniem 50-ciu i 70-ciu lat, należy historycznie do tej europejskiej fali, jaka zmiotła feudalizm poprzez burżuazyjną rewolucję francuską. Natomiast rabacja galicyjska, Złota Książeczka Ks. Sciegiennego i bunt chłopski w Kongresówce należą już do okresu skutków tej rewolucji, mimo, że występują przed zniesieniem pańszczyzny. Kształtowała je nowa sytuacja Europy; rozwiewanie się ułud co do ludowego charakteru rozwijającej się liberalno-bankierskiej demokracji, a w kraju ruga z ziemi, jakie coraz śpieszniej i liczniej przeprowadza dwór, który unowocześnia i rozszerza teraz swój folwark, kosztem ziemi chłopu, jego samego obracając w najemną siłę roboczą. Bunt chłopski i nauki w stylu ks. Sciegiennego ścierały się z nowymi już siłami społecznymi, w porównaniu z tymi, jakie obalała rewolucja francuska, dając ludowi wolność i ziemię.

Dlatego ruchy te sięgały poza uwłaszczenie, rozumiane jako opóźniony u nas przełom społeczno-gospodarczy, a spełniająco to, co Europa przeżyła u świtu 19-go wieku.

Dlatego w 40 lat po zniesieniu pańszczyzny w Galicji, kiedy wyklarował się nowy ustrój społeczny i gospodarczy wsi, jego podstawa: rodzinna parcela chłopska, zostaje uświęcona bohaterskim radowodem od Kościuszki i Bartosza, nie zaś od Szeli, od 61, od ks. Sciegiennego. Parcela bowiem w stosunku do dworu była osiągnięciem na pewien czas gwarantującym nienaruszalność folwarku, a ks. Sciegienny głosił co innego, obalenie „panowania” moźnych ze dworu i miasta. W stosunku do bezrolnych, do służby folwarcznej, do ma-

rolnych parcella oznaczała zahamowanie ich ślepej, daleko idącej rewolucyjności, oznaczała zepchnięcie w dół we własnej wiejskiej hierarchii społecznej, a rabacja galicyjska i bunt z 61 r., parte były ambicją politycznego i społecznego/podniesienia się całej wsi.

W „Pamiętnikach Chłopów” cytowane są wspomnienia dziadków. Mieli według tych relacji chłopci w latach 70—80-tych nie trapić się o los dzieci, było bowiem dość ziemi na gospodarce, aby je obdzielić. Ale w tych relacjach więcej już jest właśnie mitu parcell, niż prawdy o rzeczywistości wiejskiej. Ukaz cesarski w Galicji, tak jak w Kongresówce, tylko części chłopów wrócił ziemię a i wśród tych, którzy ją otrzymali niskie nadzieje stworzyły rynek najemnych rąk robotniczych. O to szło właśnie w mieszczańskie rewolucji francuskiej, to było również w 1848 i 64 roku zyskiem dla folwarków, dało bowiem dworom tanich robotników, jako wyrównanie za stratę poniesioną przez uwłaszczenie. Ale w Europie zachodniej w połowie wieku 19-go nowe siły najemne, jakie wyrzuciła wieś, zostały pochłonięte przez narodowe rynki uprzemysłowionej produkcji, ba, rosło zapotrzebowanie na obco-krajowe siły robocze. Tam rozwijający się konsekwentnie kapitalizm już, jak we Francji, po 48 roku, sprawę ludu przerzucił ze wsi do miasta, magazynem sił wyzyskiwanych stawać zaczęły się coraz wyraźniej fabryki, rynek industrialno-robotniczy. Sprawa ludu przekształcała się w nowoczesne zagadnienie.

A u nas? Do roku 1864 w Królestwie Kongresowym jedna trzecia chłopów była już bez ziemi. W rękach pańszczyźnianych i czynszowych oraz ludności miasteczko-wej znajdowało się około 7 milionów mórg. Ukaz carski dał nowych dwa miliony mórg, zatwierdzając dotąd użytkowane na wyłączną własność.

Stosunek w posiadaniu ziemi wyrażał się zatem: 9 milionów w rękach chłopskich, do 12 milionów w rękach ziemian, 2/3 bezrolnych, obdzielono trzema morgami na rodzinę, przy czym, ci co w czworakach i ośmiorkach mieszkali, nie dostali nic, nadal „przymuszeni do służby”. Do stali dopiero ci z dwójaków — najlichszy grunt. Kiedy w 1858 było osad o 3 morgowych gospodarstwach 55 tysięcy, w roku 1873 wzrosły do 205 tysięcy. Do lat 90-tych ilość rodzin poniżej 5 ha doszła do 55 proc. W następnych latach chłopci wykupili z parcellacji około 2 miliony mórg, a równocześnie w r. 1904 Wł. Grabski stwierdza podniesienie się ludności bezrolnej spowrotem do jednej trzeciej. Ludność rolnicza od 1872 r. do 1904 wzrasta o 100 proc., a od r. 1860 do 1904 wzrost produkcji rolniczej podniósł się tylko o 1/5. W r. 1859 ordynaria wynosiła 10 i pół korca i 22 ruble — w r. 1897 również 10 i pół korca i tylko 24 ruble.

O jakże tragicznych zmaganiach świadczy ten krajobraz liczb? Okazuje się, że po 40 latach od zniesienia pańszczyzny mamy ponad 70% gospodarstw poniżej 5 ha, mamy jedną trzecią ludności bezrolnej (a to znaczy — dwa razy więcej rodzin niż w r. 1864) i mamy o 20% więcej ziemi w rękach chłopów. W czymże zatem znalazła się ona posiadaniu? Grabski wskazuje na tę grupę chłopską, która już przed r. 1864 stanowiła czynszowników w dobrach prywatnych i rządowych. Nazywa ją w r. 1904 „wyborem włościństwa polskiego” — najzasobniejsi, najtężsi nabywcy gruntów na parcellacji i z odkupu, wielu z nich przechodzi do rządu właścicieli drobnych folwarczków, miesza się z szaraczkową szlachtą, w której posiadaniu był milion mórg ziemi.

Tak to właśnie rośnie na przestrzeni 40 lat mit parcell, ściślej mówiąc dopiero od lat 90-tych, kiedy „wybór włościństwa polskiego” stał na poważniejszy skup ziemi po okresie drobnego rozszerzenia swych gospodarstw na drodze lichwiarskich pożyczek biedniejszym z prawem częściowego, a nieraz do całkowitego przejęcia ich ziemi za długi.

Co tu najbardziej zdumiewa? Oto u tych bezrolnych, a jest ich 3 miliony na 9 milionów w Królestwie — „jednak — jak stwierdza współcześnie Grabski po dziewięćsetnym roku — dążenia socjalne pozostają całkowicie w sferze pojęć włościństwa rolnego i właściwy cel pracy to zdobycie środków na stworzenie własnego kąta”.

I to wówczas, kiedy komplet gospodarstw o obszarze, wystarczającym do egzystencji, znajduje się w rękach mniej niż 30% rodzin, kiedy cena za mórg rośnie zastraszająco. Przed uwłaszczeniem morga — 30 rubli, w roku 1900—100 rubli, 1910—150 rubli.

Jak rozumieć to opętanie magią parcell, kiedy folwarczni, którzy jeszcze w r. 1904 zarabiali rocznie: 11 korcy ordynarii i 20 rubli, po strajku powszechnym w 1905 r. uzyskują 14 korcy i 30 rubli, co równa się wówczas rocznej wytwórczości z 12 mórg ziemi?

Jest jedna tragiczna odpowiedź. Przypomniał ją w tych dniach Jan Kott w „Przedmowie do Lalki Prusa” („Kuznica” Nr 13—16). Nasz „bohaterski” okres mieszczaństwa, spóźniony co najmniej o pół wieku trwał 30 lat i skończył się już przed rokiem 1900-ym. Czyż on zawierał historię? „Stanu trzeciego”, historię kupiectwa, od galanteryjnego sklepu do spółek handlowych, robiących obroty ze Wschodem. W te handlowe, nie przemysłowe, dzieje, wpisuje się i grubsze ziemiaństwo. „Wasze firmy — mówi książę w Lalce do Wokulskiego — są także herbami, nasze herby są także firmami, które gwarantują rzetelność w prowadzeniu interesów”...

Świadomość narodowa nie zaczęła się o podstawy w. XIX, nawet nie o podstawy kapitalizmu. Przemysł pozostaje osobliwością zagraniczną. Przemysł finansuje obcy kapitał, prowadzą go cudzoziemcy. Przemysł rozrósł się dostatecznie, aby stał się zagadnieniem narodowym, był jednak za mały aby przez klasę robotniczą narzucić się narodowi, aby na nim wymusić nowoczesne postawienie sprawy ludu.

Przemysł krajowy, w rękach cudzoziemców, nie pracuje na potrzeby kraju, uchodzi z niego. Handel polskiego mieszczaństwa obraca kapitałem ziemiaństwa, które przez czterdzieści lat nie podnosi płac robotnikom rolnym, a jego nowe handlowe dochody pochodzą z przerzucenia tego kapitału poza kraj. Towar i kapitał krajowy nie ożywiają życia gospodarczego na mie-

scu. Towar nie sięga do wsi, kapitał nie wprowadza wsi do industrialnej pracy, do nowego zarobku, do pieniądza. Kraju się nie inwestuje, kraj się nie ujednolica ekonomicznie. Wiek pozostaje stanem czwartym. Mieszczaństwo — stanem trzecim. A monopolistyczny kapitał obcy zajmuje kluczowe pozycje: surowce, banki, buduje centra przemysłowe. Nad krajem niewidzialna ręka pisze: „los półkolonii w Europie”. Ten stan rzeczy jest dziełem mieszczaństwa i ziemiaństwa. Przeżyły szansę wejścia w nowoczesną, kapitalistyczną Europę. Skończyły się nadzieje na „podobne przemysłowo-handlowe”. Są jeszcze dochody, ale to już tylko renta, malejąca renta. Rozstrzyga o podbojach zagraniczny kapitał finansowy, który tu eksploatuje surowce i stawia przemysł — a czerpie inwestycje z rozwiniętej u siebie w ciągu stulecia produkcji i mnoży je w koloniach i półkoloniach. Kott pokazuje, jak w Lalce „zepchnięcie z pozycji” każe mieszczaństwu z nieubłaganą konsekwencją „widmo przyszłości” kreować na cel przyszłości. Mieszczaństwo i ziemiaństwo przegrane — spada w los kraju — półkolonii — tyle nam jeszcze zostało! I ta nowa tragiczna pozycja staje się teraz nową ideologią skrachowanych. Ostatnim rezerwuarem, który ma utrzymać bankrutów w ich postępującym upadku, pozostał jeszcze — lud. Tubylcy półkolonii. Na ich grzbiecie, przy ich małych potrzebach życiowych za ich darmową pracę da się jeszcze jakoś pomyślnie pociągnąć!

W. Błachowski

tłum. T. Chrościelewski

Pszenica pod Moskwą*)

...Wiadomo, że do wojny światowej siew pszenicy dawał w środkowych połaciach Rosji bardzo niske rezultaty, toteż chłopci woleli siał żyto. Przyczyna leżała nie tylko w ciężkości gruntu, lecz przede wszystkim w tym, że nie mieliśmy gatunku, któryby mógł przetrzymać surowe zimy moskiewskie. W okresie rządów sowieckich selekcyjni wyhodowali kilka gatunków pszenicy nadających się do ostrego klimatu. W okręgu Leninogradzkim przyjęto za podstawowy t. „Moskiewska 3411”. Gatunek się jednak nie przyjął i siano t. „biała pszenica” — „Albo zubrą”. W środkowej Rosji obydwa gatunki zawiodły, pozostano przy życiu; niepowodzenie dręczyło rolników: Iwan Andrzejewicz nieraz zapytywał Teodora Wasylewicz Kulista. Teodor Wasylewicz opowiadał mu wtedy o sukcesach selekcyonerów, o doświadczeniach Lyseńki i Cyncy, wymienił gatunki, które tu i tam dawały niezłe rezultaty, ale nie konkretnego nie umiał powiedzieć.

Wtedy Iwan Andrzejewicz zwrócił się do samego Lyseńki. Lyseńko zaś, ceniąc przenikliwość rozmówcy, uchylił się od natychmiastowej odpowiedzi:

— Poczekaj pan troszeczkę, Iwanie Andrzejewiczu, coś mi się widzi, że będę panu mógł niedługo służyć...

Jakoż po pewnym czasie przyszła oczekiwana z niecierpliwością wiadomość. Agronom wrócił podniecony.

— No, Iwanie Andrzejewiczu, Trofim Denisowicz wynalazł nowy gatunek, chce go wypróbować u nas. Wezwij no Tatiane Wasylewnę. Pół wieku już za plecami Tatiany Wasylewny: życie bogate w radości i niepowodzenia, w łyzy i sukcesy. Szybko wybiła się wśród pracownic rolnych i nie tylko dlatego, że robotła wprost palła jej się w rękach, lecz i w dużym stopniu dlatego, że umiała organizować pracę, a jej zapal udzielał się otoczeniu.

NOWY GATUNEK

Agronom mówił, że Lyseńko wyprowadził nowy gatunek pszenicy z istniejącej już tzw. „Eritroperum”. Pierwszy otrzymał ją Instytut Selekcji w Odessie. — Przyjdzie, towarzysze, zdrowo się namozolić, zda mi się, mamy nareszcie, czegośmy szukali. — Robotła nam nie straszna — odrzekła Tatiana. — Wstydu wam nie przyniesiemy.

Iwan Andrzejewicz skinął przytakująco.

— Wielki to zaszczyt dla nas przyswoić taką pszenicę.

— Nie ma tu co dłużej gadać. Dawajcie szybko. W umysłach tych niezmiernie praktycznych ludzi zarysowały się już konkretne plany: jaki by tu szmał ziemi wybrać pod to ziarno, jaki nawóz, jak siał, co by tu skombinować przed zimą?

Przedsięwzięcie nie było takie proste, jak by to się na pierwszy rzut oka zdawało — do takiego wniosku doszła Tatiana, gdy wracała do chaty po długiej naradzie z kierownikami i agronomem. Prawie całą noc przesiedziała przy lampie z olówkiem w ręku. Liczyła.

*) Fragmenty ze szkiców biograficznych pt. „Mistrzowie gospodarstw rolnych”, wyd. „Moskiewski Pracownik”, 1946 r.

— Dlaczego to lato pszenica zmarła? Acha! Rozumie się nieodpowiednie ziarno, ale przecie, aby ozimina zniosła zamróż, trzeba by ją przez jesień czysto pięknie wzmocnić i niech no pędy wyda, okrzepnie i niech pójdzie pod śnieg jako ruń.

Gatunek to on tam może być i pierwszoklasny, ale gdy się jest bez nikajkiego pojęcia, tedy można i pierwszoklasny zmarnować — tak sobie myślała Tatiana i wciąż liczyła.

Trzeba by nam zasiać na świeżym kartofliksku. Musowo więc z kartoflami bystro się uwinąć, a do tego trza jarowizacja. Acha, więc to jakos z tej deski — zadecydowała Tatiana i postawiła w swoim notesiku kropkę.

(Teraz barwne opowiadanie o tym, jak się odbywała jarowizacja, jak to sobie Tatiana doskonale poradziła z niechętnymi „babami”. Jarowizację zaczęło około Wielkanocy, do kopania przystąpiono 20 czerwca, po zebrań — natychmiastowa zaorywka, starannie przemysłana proporcja nawozów, wreszcie zasiew: ściśle rozmierzona szerokość i głębokość bród, gęstość siewu itd. Tatiana wychudła od ciągłej harówki i niepokoj).

Przyszła zima, gdy zaczął sypać śnieg, pole już było lednośnie zielone.

CO POKAZAŁA WIOSNA?

Śnieg tej zimy upadł pulchny, gesty i przykrył oziminy ciepłym płaszczem. Próby czynione przez Tatianę wskazywały wyraźnie, że pszenica zimuje normalnie. Wreszcie powiały ciepłe wiatry, śnieg czerniał; Tatiana zaczęła przemysływać od czego by tu zacząć robotę w polu. Idąc za radą kierownika nie przeprowadzała wiosennego bronowania, ograniczyła się do pożyczki mineralnej. Ażeby maczka wnikała dokładnie w glebę, trzeba było rozsiać ją natychmiast po roztopach. I oto na pszeniczne pole wstąpiła gromadka kobiet z siewnikami przewieszonymi przez ramie. Pierwsza szła Tatiana Wasylewna. Na wysokim, swym niebie sześciobójki skowronki. Pożywka zawierała następujące składniki: 2 centnary superfosfatu, 1 centnar soli potasowej i 2 centnary saletry — na każdy hektar.

Kiedy powiało ciepłem, zboża zaczęły szybko rosnąć. Gruboziarnista, gęstozielona pszenica wypuściła tuste trąbki. Wiosenny poczęstunek był tak hojny, że na miedzach nie można było dojrzeć ziemi. Nawet nad żytem górowała gęstością i soczystą zielenią.

— Widzi mi się, Tatiano Wasylewno, że natrafiliśmy na właściwy gatunek aa? — mówił jej przy spotkaniu kierownik...

Przyjeżdżali z daleka, zawistnie patrzyli na łan i chłopskim zwyczajem milczeli, aby czasem nie pochwalił sąsiada...

Gdy w pszenicy pojawił się oset i wilczomlecz, rzekła Tatiana pewnego wieczora do pomocnic:

— Jutro, babinki, skoro świt, musowo pszenicę plić.

Wyszły babinki w pole rano, bardzo rano, jeszcze z pół nie zewlekił się zmrok i tylko wysoko rozłożył się obłoczek, gdyż widział słońce.

A po onym dniu tak powiedziała Tatiana: — A teraz dziewczęta nie już nie trzeba robić aż do żniw.

W „Historii Towarzystwa Rolniczego” (Tom I str. 524) czytamy o sprawie uwłaszczenia z r. 1864: „choć nie dla wszystkich w owym czasie był widoczny (stan antagonizmów społecznych) jednak stał się podświadomym wszystkim późniejszych wypadków”.

„Pamiętajmy — pisze Grabski w 1907 r. — że 40 lat temu zgotowaliśmy wielką klęskę narodową przez to, że się na szczyt wobec ludu nie zdobyliśmy”.

Uwłaszczenie zostało na dworach wymuszone. W ciągu następnych 40 lat ziemiaństwo i mieszczaństwo nie wprowadziło kraju w nowoczesną gospodarkę towarową. Nie przesunęło uwłaszczonych małorolnych i bezrolnych w rozwiniętą produkcję przemysłową. To było wynikiem zachowania przez ziemian folwarków, jako podstawy do dalszych „antagonizmów społecznych”. Teraz, około roku 1900, kiedy ścieli się przed krajem los półkolonii, antagonizm społeczny ubiera się w nową maskę, okazuje nową nieszczerłość wobec ludu, choć tak ludzając szczerością. Narodowe klasy posiadające szukają się do wyciącia w półkolonię. Stają twarzą do tubylców, do utrwalonego ghetta chłopskiego, do ziemi, ostatniej i jedynej wartości w dzikich krajach. I w takich to skrachowanych narodowo warunkach zaczyna się ludomania. „Chłop potęgą jest i basta!” Do twarzu mu pawie pióra! Cóż ta wiara w Boga, ziemię i lud wówczas oznacza? Odśniania ją Wł. Grabski w „Materialach w sprawie włościństwa”. Jest to rok 1907. Rozumuje następująco:

1) „Ogólne uprzemysłowienie kraju i postęp kultury materialnej i duchowej będzie wymagał stałego podnoszenia płac i warunków bytu robotników rolnych, ale rynek na to pozwalać nie będzie” (ten właśnie narodowy, nieutowarowiony rynek).

2) Skutek — „coraz więcej majątków pójdzie na parcellację, gdyż skala potrzeb włościństwa — gospodarza zawsze mniej szybko rośnie od skali potrzeb robotników rolnych, z chwilą gdy wchodzi w okres uświadomienia” (po strajku folwarcznym z r. 1905).

3) Teraz obłudna troska o robotników rolnych, aby nie byli rugowani z folwarków wraz z ich parcellacją, trzeba, żeby nie z musu, a „dobrowolnie i świadomie zmienili swój byt robotników rolnych na inny”.

4) Na jaki? — aby „stali się samodzielnymi rolnikami — gospodarzami?” To za krawa więcej, niż na szyderstwo. Około roku 1910? Kiedy — jak powtarzam — jedna trzecia wsi, to bezrolni, opłacalne gospodarstwa ponad 10 ha w ręku mniej niż 30%, cena 1 morga 150 rubli, a dwór zachęca folwarcznym do ulapienia się jednej, dwóch, trzech mórg, aby zastąpić ich nowym ze wsi kontyngentem robotników, którzy nie odważą się na strajk? którym będzie można obniżyć spowrotem pensje roczną z 30 rubli na 20, aby „nieruchomość Polski”, jaką na wsi podtrzymywali przez 40 lat przedłużyć i na jutro?

Droga do półkolonii została otwarta w latach 90-tych. Są folwarki i większe gospodarstwa „wyboru włościństwa polskiego”. Oto wysokie szczeble w drabinie jedynej hierarchii społecznej i gospodarczej na wsi. Ziemia, tylko ziemia! Stan katastrofalny. W tej przestrzeni folwarczno-komorniczej jedynym ruchem jest spekulacja ziemią. Dwory trwają za cenę częściowej parcellacji. Kruszą się folwarki. Bank włościński daje kredyt na kupno z parcellacji. Akcja sztuczna. Pomaga ziemiaństwu; bez tego kredytu nie byłoby parcellacji, nie byłoby dla dworów gotówki. Kredyt pomaga włościństwu już posiadającemu, służy utrwaleniu już istniejących gospodarstw. Biedota czepia się morgi, dwóch, aby wkrótce odpaść, albo straszliwie wegetować.

Zaczyna się okres trwający do r. 1939, okres pożerania się wewnętrzne wsi. W tym procesie samobójstwa narodowego trzyma się i wzmacnia „wybór włościństwa”. Jemu jest pisane najpóźniejsze przeżycie na oczy.

On żyje na parcell! Wokół nędza i zafocianie opromienia go mitem parcell. Bezrolni, komornicy, nawet folwarczni „pozostają całkowicie w sferze pojęć włościństwa rolnego”. Mit stanu czwartego, mit parcelli kuje się również w górach narodowych. Robi-to inteligencja. Jakież może być stanowisko wyborowych włościń? Mają pozycję ekonomiczną najlepszą na wsi — wyjątkową! Masy chłopskie zdroszczają, podziwiają i marzą o parcell. Inteligencja głosi pochwałę ludu, odrodzenie przez lud. Pochlebia zatem im „wyborowym” i trzyma w „chocholim tańcu” pozostałą, większą część wsi. Oto dzieje półkolonii...

A teraz posłuchaj, jak było w Galicji?...
Jan Aleksander Król
(e. d. n.)

W NARODZIE DRZEMIA UKRYTE SIŁY,
TWOJA POMOC DLA FBS WYZWOLI Z LUDU



Władysław Ozga

PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZA WSI *)

Obok reformy rolnej, parcelacji wielkiej własności i związanego z nią zagadnienia upełnionolnienia, na czoło osiągnięć gospodarczych wsi wysuwa się sprawa oddłużenia. Zgodnie z wynikami badań Instytutu Gospodarstwa Społecznego zadłużenie na 1 ha ziemi chłopskiej wynosiło przed wojną od 120 do 250 zł, przy czym od długów swych musiał płacić chłop często lichwiarskie procenty nie tylko w gotówce, ale również w postaci odróbki, w postaci zboża, paszy dla bydła, zastawu ziemi, a nawet nieraz oddawał dzieci na służbę tytułem procentu od pożyczonych pieniędzy. W tej sytuacji właściciel gospodarstwa był faktycznie bank albo wierzyciel prywatny, a nie chłop, który odrabiał pańszczyzną w nowej postaci na rzecz kapitału finansowego, na rzecz liczącej rzeszy bezwzględnych wierzycieli, ciągnących swe niezaspokojone procenty bez żadnych skrupułów.

Ekonomiści obliczają, że roczne spłaty wsi w zakresie obsługi procentów i amortyzacji długów wynosiły w ostatnich latach przed wojną około jednego miliarda przedwojennych złotych. Zastosujmy tu mnożnik 150 o jakim się dziś mówi, a otrzymamy roczny haracz wsi równy 150 miliardów złotych. Dla uwytknienia tego straszliwego ciężaru przypomnę, że cały budżet bieżący państwowy na rok 1947 nie o wiele przewyższa 150 miliardów złotych.

Ciężar ten spadł ze wsi dzięki rozbiciu starego aparatu bankowego i dzięki likwidacji kapitału finansowego, który niezależnie od podatków nakładanych przez państwo, ciągnął ze wsi polskiej jej soki żywotne. Rozumiemy teraz dlaczego gdzieś tam na wsi dzielono zapalkę na dwoje, dlaczego w jednej wodzie słonej gotowano kilkakrotnie kartofle, a jedne buty służyły w zimie dla kilku osób w rodzinie chłopskiej.

W związku z przejściem wielkich banków przez państwo ludowe, nastąpiło odciążenie wsi, a przez to faktyczne przywrócenie własności, jakby nowe uwłaszczenie poważnej części mas chłopskich. Reforma rolna, osadnictwo na Ziemiach Odzyskanych, oddłużenie zmieniły i zmieniają obraz gospodarzy wsi w odrodzonej Polsce Ludowej. Gdy uwzględnimy jeszcze urodzajowość wielkiego przemysłu i projektowany jego rozwój w ramach trzyletniego planu, co spowoduje wielki odpływ nadmiaru ludności rolnej do fabryk, to zrozumiemy istotę dokonanej rewolucji na wsi, zrozumiemy nowe oblicze gospodarze wsi.

W nowym ustroju wsi polskiej, opartym na Manifestie Lipcowym PKWN i na dekretach i ustawach na jego podstawie wydanych, zjawia się szereg aktualnych zagadnień gospodarczych, które trzeba rozwiązać, aby nie zahamować postępu wsi i jej właściwego kierunku rozwojowego. Udział postępowego ruchu wiciowego w rozwiązywaniu tych zagadnień jest rzeczą nieodzowną i konieczną.

Na czoło wysuwa się tu sprawa postępu technicznego wsi. Żyje ona w wielkim zacofaniu pod tym względem. Maszyna nie zdobyła sobie jeszcze prawa obywatelstwa w gospodarstwie chłopskim. Źródłem siły są w nim jeszcze mięśnie człowieka. Ręczna kosa, cepy, motyka, zwykły plug, a nawet zwyczajny sierp są jeszcze na wsi podstawowymi narzędziami rolniczymi. Traktor, żniwiarka, wiązalka mechaniczna, młockarnia, kopaczka, sztuczna wylęgarnia, czy mechaniczna dółka, czy nawet siewnik, tryjer lub konny kierat, nie mówiąc o motorze spalinowym i elektrycznym — to maszyny i narzędzia nieznane jeszcze na wsi. Brak maszyn w gospodarstwie rolnym czyni chłopca niewolnikiem żmudnej pracy fizycznej, od świtu do nocy, upodabnia go do zwierzęcia, uniemożliwia poświęcenie chwili czasu potrzebom kulturalnym, czytelnictwu, uniemożliwia mu uczestnictwo w społecznym życiu gromady. Tu leży między innymi przyczyna, że chłopów mniej zamożnych, zaharowanych pracą fizyczną bez użycia maszyn i nowoczesnych narzędzi widzimy zbyt mało na stanowiskach w zarządach gminnych, spółdzielczości, w organizacjach zawodowych itp.

Wielkim krokiem naprzód w dziedzinie wyzwolenia duchowego człowieka wsi jest ułatwienie mu ciężkiej pracy fizycznej przez stosowanie udoskonalonych nowoczesnych maszyn rolniczych. Posiadam pod tym względem osobiste przeżycia i spostrzeżenia. Pochodzę z 15-morgowego gospodarstwa chłopskiego w kieleckim. Rodzice moi nie stosowali maszyn, nie stosuje ich jeszcze moja najbliższa rodzina. Dlatego też okresy pilnych robót rolnych skojarzyły

się u mnie ze znojną pracą w pocie czoła całej, choć licznej rodziny, pracą wyczerpującą ponad siły od świtu do nocy, po 18 godzin na dobę. Kontrastem tych wspomnień były przeżycia moje z okresu okupacji, kiedy to ścigany przez gestapo za działalność w Batalionach Chłopskich, zmuszony byłbym ukrywać się i dość długo, choć z przerwami, przebywać w 20-morgowym chłopa również członka B. Ch. w powiecie puławskim. W gospodarstwie jego zyskały sobie obywatelstwo maszyny: żniwiarka, młockarnia, siewnik, kopaczka. Mimo krwawego terroru okupanta, mimo ciągłych łapanek, pacyfikacji, wywożenia do Niemiec, i do obozów śmierci, mimo nieugiętej walki z zienawidzonym hitlerowskim najeźdźcą okres żniw był w tym ulepszonej technicznie gospodarstwie radosnym zbieraniem plonów, bez nadmiernego wysiłku i przemęczenia. Na pole wychodziło się rano o godz. 7 lub 7,30 po spokojnym spożyciu śniadania. Pamiętam jeden ranek żniwny, gdy to w ciągu 2,5 godzin zżęliśmy z gospodarzem przy pomocy żniwiarki hektar pszenicy i powróciliśmy około 10,30 do domu na drugie śniadanie, po którym czytaliśmy wspólnie prasę konspiracyjną i dyskutowaliśmy na temat sytuacji wojennej na frontach. Pogoda była piękna, dzień upalny. Pracę podjęliśmy dopiero po obiedzie o godz. 15-tej. Nastąpiła wózka pszenicy do stodoły i omłot na młockarni, poruszanej kieratem. Zajęcia nasze zakończyliśmy przed zachodem słońca, około godziny 20-tej, pogodni, niezmecczeni, zadowoleni z dokonanej pracy. Jakżeż obraz ten różnił się od wspomnień dziecka z okresu żniw, gdzie wszystko niemal wykonywało się ręcznie. W ten pogodny dzień lipcowy w okresie konspiracji przeciwhitlerowskiej zrozumieliśmy w całej pełni znaczenie i dobrodziejstwo zastosowania maszyny w pracy rolnika.

Być może, że to wspomnienie pogodnego dnia żniwnego, stanowiącego kontrast z ponurą rzeczywistością okupacyjną, wyrło mi się głębiej w pamięć i z tego powodu, że następująca po dniu noc była ciężkim przeżyciem. Rozpoczęła się bowiem masowa pacyfikacja okolicy z udziałem kilku tysięcy żandarmów, SS-manów i wojska, w wyniku której wywieziono na Majdanek 500 mężczyzn — w tym kilkudziesięciu towarzyszy konspiracyjnych i przyjaciół, z których wielu już nie powróciło.

Przed postępowym ruchem chłopskim, przed wolną wiciową gromadą stoi dziś poważne zadanie, zadanie uzbrojenia technicznego wsi. Jak najdalej posunięta mechanizacja wszystkich faz pracy rolnika od orki, aż do zmagazynowania roślin i zbóż, jak również czynności hodowlanych, musi być naszym celem. Traktor, motor spalinowy, motor elektryczny, mechaniczna dółka, plug motorowy, siewnik, kultywator, nowoczesna młockarnia, wylęgarnia, narzędzia do przygotowania pasz itd. — muszą znaleźć sobie prawo obywatelstwa w gospodarstwie średnio i drobnorolnym chłopca. Z pomocą przyjdą tu społeczne sposoby użytkowania droższych maszyn przede wszystkim poprzez Związek Samopomocy Chłopskiej. Oczywiście przeszkody na tej drodze będą duże. Zaczyna nam różni ideologowie z pod znaku agraryzmu mówić o technokracji, czule a poetycznie wzdychać do „Polski oraczy”, powtarzać dawno przbrzmiałe hasła Rousseau o zgubnym wpływie cywilizacji na człowieka, o konieczności „powrotu do natury”, deklamować z patosem zaczerpnięte z romantyzmu polskiego słowa o „wolnych twórcach chleba”. Reakcja wykorzysta tu zaraz szerzoną przez siebie panikę „kolchozową”.

W walce o postęp techniczny w rolnictwie napotykamy na duże trudności ze względu na ograniczone nasze aktualne możliwości. Wydaje się marzytelstwem mówić dziś o elektrycznym plugu w gospodarstwie chłopskim, gdy z powodu braku konia i uprzęży szarżują tu i ówdzie ugory w Polsce, gdy możliwości produkcyjne maszyn rolniczych są jeszcze u nas małe, a wyszkolenie techniczne wsi zbyt niskie. Jesteśmy jednak ruchem wybiegającym naprzód, pragnącym zrealizować lepsze jutro chłopca, dlatego też zagadnienia te musimy wysunąć na czoło gospodarczych zadań wsi, musimy dopilnować by przewidziane w 3-letnim planie gospodarczym uzbrojenie techniczne wsi zostało zrealizowane zawiązką, a w przyszłym narodowym planie gospodarczym znalazło swój pełny wyraz.

W ścisłej łączności z zagadnieniem technizacji gospodarstw chłopskich stoi intensyfikacja tych gospodarstw. Gruntowna i oparta na przesłankach naukowych uprawie roli, stosowanie w jak najszerszym zakresie nawozów sztucznych, odpowiedniego płodozmiannu, racjonalna hodowla, to podstawy intensyfikacji. Wiąże się z tym zagadnienie melioracji i komasacji. Konieczne będzie tu dokształcanie się chłopca w dziedzinie rolnictwa i hodowli. Poważną rolę spełnia tu przysposobienie rolnicze. Wieś musi zrozumieć, że rolnictwa trzeba się uczyć, że nie jest to zawód łatwy. Samokształcenie indywidualne i zespołowe może odegrać tu poważną rolę. Najpełniejszym wyrazem intensyfikacji gospodarstw rolnych winna być specjalizacja tak w dziedzinie uprawy roślin, jak też i w hodowli. Chodzi o to, by chłop przeszedł od tradycyjnych i mało dochodowych upraw do takich, które najbardziej odpowiadają warunkom klimatycznym, warunkom gleby, możliwości powiązania się z przemysłem na danym terenie. Zaczęciem tego rodzaju specjalizacji jest np. uprawa buraków cukrowych w okolicach przylegających do cukrowni, uprawa tytoniu, warzywnictwo podmiejskie, uprawa tu i ówdzie ziół leczniczych, lnu, roślin olejnych itp.

Chłopskie organizacje zawodowe, spółdzielnie i oświatowo-kulturalne winny przyczynić się do wykorzystania tych nowych możliwości polskiego rolnictwa. I na tym odcinku wypadnie nam walczyć z „kompleksem kolchozowym”.

Ważną sprawą na najbliższą i dalszą przyszłość jest rozwój przemysłu rolnego i powiązania go z uprawą roślin i hodowlą.

Do podniesienia się opłacalności rolnictwa, oraz wyzyskania rąk roboczych do pracy w okresach wolniejszych od robót rolnych, przyczynić się może rozwój takich zakładów przemysłowych, jak: krochmalnie, gorzelnie, młyny, tartaki, przetwórnictwo owoców, suszarnie owoców, wikliniarstwo itp. Wdzięczne pole ma tu spółdzielczość chłopska, a w szczególności Związek Samopomocy Chłopskiej.

Przez uzbrojenie techniczne wsi, przez rozwój przemysłu, pragniemy zmienić Polskę z kraju rolniczego na rolniczo-przemysłowy. Pracę chłopca pragniemy ułatwić i upodobnić do pracy wykwalifikowanego rzemieślnika, robotnika fabrycznego i inteligenta. Będzie to najlepszy sposób przeciwdziałania ucieczce ze wsi do miast. Przez rozwój przemysłu rolnego i przemysłu ubocznego pragniemy wzbogacić wieś i wyzyskać nadmiar sił roboczych w okresach mniejszego nasilenia robót rolnych.

Stojąc na stanowisku indywidualnej, drobnej własności rolnej, musimy zwrócić uwagę na istniejący zakaz prawny rozdrabniania gospodarstw. Przeciwdziałać rozdrabnianiu będzie uprzemysłowienie kraju i zmiana jego struktury gospodarczej, z rolniczej, czy rolniczo-przemysłowej na przemysłowo-rolną, co znalazło swój wyraz w narodowym planie trzyletnim. Uprzemysłowanie kraju będzie u nas nierozdzielnie związane z odpływem nadmiaru ludności wiejskiej do fabryk, co z kolei przeciwdziałać będzie rozdrobnieniu gospodarstw.

Odbudowa przemysłu, powrót do Macierzy ziem zachodnich, osadnictwo i zagospodarowanie tych ziem spowodowały, że znikła u nas raz na zawsze, obrażająca naszą godność narodową emigracja, połączona z pracą polskiego chłopca i robotnika dla obcych i wrogich nam narodów. Jesteśmy obecnie świadkami zjawiska odwrotnego: powrotu naszych rodaków do Ojczyzny, braci naszych, dla których Druga Rzeczpospolita okazała się nie matką, lecz macochą, którą trzeba było dla nędznego zarobku opuścić.

Nasza struktura gospodarcza odbiega jeszcze znacznie od zachodnio-europejskiej, nawet od struktury tzw. krajów rolniczych, bo gdy w Polsce wypada mniej więcej trzech rolników na jednego nierolnika, to w rolniczej Danii jeden rolnik wypada na trzech nierolników, a w Szwajcarii jeden rolnik na czterech nierolników. Stosunek ten daje w wyniku nędzę naszej wsi, a przysłowiowy dobrobyt wsi duńskiej. Zatem rozwój przemysłu w kraju typowo rolniczym leży w interesie przede wszystkim samego rolnictwa i dlatego my radykalni ludowcy jesteśmy zwolennikami industrializacji, zwolennikami wsi rolniczo-przemysłowej.

Wiąże się to ściśle ze zwiększeniem chłonności rynku miejskiego na chłopskie artykuły spożywcze, co podnosi dobrobyt wsi. Dobrobyt chłopca powiększa znowu spożycie artykułów przemysłowych na terenie wiejskim, otwiera poważny ruch zbytu na te artykuły. W dążności do podniesienia gospodarczego i cywilizacyjnego wsi, oraz do podniesienia kultury życia codziennego ważną rolę odegra elektryfikacja. Jest ona doniosłym wynikiem likwidacji zacofania wsi. Na tym polu mamy już pewne osiągnięcia. W wizji przyszłości wsi zagadnienie energetyki należy również wysunąć jako czołowe zadanie Polski Ludowej, zmierzającej do wyrównania kulturalnego między wsią i miastem. Światło elektryczne, żelazko, piecyk, czy kuchnia elektryczna muszą być zwyczajną rzeczą w rodzinie chłopskiej.

W zakresie budownictwa wieś musi skończyć z romantyczną chatą, krytą słomianą strzechą. Musimy stworzyć nowy typ pomieszczenia rodzinnego kilku izbowego z miejscem do odpoczynku, do kąpiei. Słomianą strzechę trzeba zastąpić blachą lub dachówką. Zabudowania gospodarze winny być ogniotrwałe, nowoczesne i dostosowane do nowych technicznych urządzeń. Nie obawiamy się zarzutu bezpłodnego marzytelstwa, gdy wysuniemy we wsi zagadnienie kanalizacji. Nie jest niedościgłym marzeniem zagroda wiejska z miejscową kanalizacją z zastosowaniem motorka elektrycznego do tłoczenia wody.

Zagadnienie budownictwa stoi przed wsią jako problem do rozwiązania. Według obliczeń fachowców średnio co piątą zagrodę w Polsce uległa mniejszemu lub większemu zniszczeniu. Dlatego konieczna jest tu pomoc zarówno ze skarbu państwa, jak też i zastosowanie samopomocowych sposobów gromad wiejskich. Należałoby wykorzystać zmodyfikowane odpowiednio metody spółdzielczości budowlanej z miast. Spółdzielczość budowlana na wsi winna położyć nacisk przede wszystkim na zorganizowanie wytwórczości materiałów budowlanych, jak cegła, stolarka, betony itp. W nowych warunkach w jakich się wieś znalazła na skutek parcelacji, komasacji i osadnictwa, potrzeby budowlane są ogromne i w najbliższym dziesięcioleciu trzeba będzie wielkiego wysiłku tak ze strony państwa, jak i społeczności wiejskiej, by potrzeby te zaspokoić. I na tym odcinku ma poważną rolę do spełnienia ZSCh.

Zagadnienie komunikacji w osiedlach wiejskich jest do dziś sprawą otwartą. Musimy pobudować wiele kilometrów dróg bitych, a istniejące uporządkować. Trzeba zagęścić sieć linii kolejowych, doprowadzić do ośrodków wiejskich w głąb kraju kolejki elektryczne i linie autobusowe, by zbliżyć wieś do miasta i przyspieszyć zrównanie poziomu kulturalnego w całym narodzie, zbratać chłopca z robotnikiem.

Odrębną grupę zagadnień gospodarczych wsi stanowi spółdzielczość. Sytuacja spółdzielczości na wsi w Polsce o ustroju demokratycznym jest bez porównania lepsza niż w okresie przedwojennym. W Polsce przedwrześniowej spółdzielczość wiejska rozwijała się w warunkach wybitnie niesprzyjających, w morzu gospodarki kapitalistycznej. Musiała się kształtować na podstawie „wolnej gry sił”, a siły były nierówne.

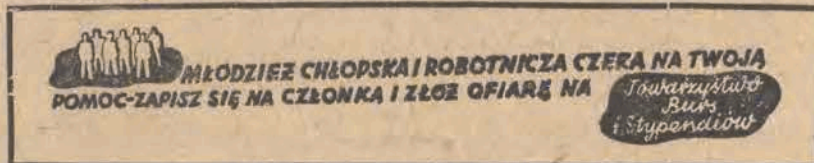
Dziś spółdzielczość ma jasno określone miejsce w życiu społeczno-gospodarczym i dogodnie pole do startu. Świadczy o tym rozwój spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej”. Spółdzielczość na wsi stanowi potężny czynnik wzmacniający indywidualną gospodarke chłopską. Tylko dzięki spółdzielczości drobno i średniorolny chłop może stać się dysponentem nowoczesnych środków technicznych dla celów rolniczych. Spółdzielczość spleta w dzisiejszej rzeczywistości wieś z elementami gospodarki uspołecznionej.

Zasięg spółdzielczości na wsi powinien być jak największy, winna ona objąć niemal wszystkie dziedziny życia wsi: wymianę towarową, przemysł rolny, przetwórstwo owoców i warzyw, przemysł chałupniczy, potrzeby budowlane i wreszcie oświatowo-kulturalne.

Aparat spółdzielczy na wsi wymaga reorganizowania w większe jednostki gospodarcze, które stanowiąc będą główne kanały dla przepływu artykułów przemysłowych z miasta na wieś, a produktów gospodarki rolnej ze wsi do miasta.

Mówiąc o spółdzielczości należy tu podkreślić, że interes tej formy społecznej działalności gospodarczej wymaga, aby spletała się ona z tymi siłami społeczno-politycznymi, które są najbardziej postępowe, najbardziej wpatrzone w przyszłość, a najmniej związane z gasnącym światem.

*) Fragment referatu wygłoszonego na zjeździe nauczycieli - wiciowców w Warszawie, dn. 18.IV. br.



HITLER NIE ŻYJE! Berlin wzięty! Przebąkowania o kapitulacji! To wszystko tak nas stopniowo zaskakiwało, żeśmy po prostu głupieli. Ja Pietrek Borowik, kuczer od 5 lat u bauera Rackego, dziś tak mi się widzi, że jestem w sieni do raju. Jest 8 maja, dochodzi południe, grzmi dokoła jak sto tysięcy pierunów, czuć, że lada chwila coś się stanie. Bauer mój, chociaż mi ta wielka złość nie zrobił, ma minę wisielca a jego połowica wygląda jak złotażona suka. Jest tutaj za mną jeszcze jeden krajan i Francuz André, ale obaj też złym okiem na bauera nie patrzą. Niemiec od samego początku nie bardzo lubił Hitlera chwalić, tylko że psiajucha skąpa okrutnie, za feniga capa do Berlina by gonit. Ale cóż robić, Niemcy takie wszystkie: i te co Hitlera chwala, i te drugie. Myślę se, że mój bauer smuci się przez to, że lada chwila sam będzie musiał koło swych morgów chodzić: jak pojedziemy od niego, robotnika nie dostanie łatwo.

Ej, czuję, czuję, że dziś się coś stanie. Boże mój kochany, wnet do Polski pojedzie my! Podobno Niemcy poddali się Amerykanom, tylko jeszcze z Rusami nie chcą się dogadać... A może to wszystko nie prawda? może to jakiś hitlerowski okrutny wybieg? bajtki... to skądże te huk i detonacje, trzaski i strzały? I taki fajniutki ogień widoczny zewsząd! Psiawiara, cały świat się na mnie wzięło, żeby meczyć... ciągle się zdaje czelkowi, że się niemieckim niewolnikiem urodził i takim zdecnie... aż wstydy, doprawdy... kapitulacja... nie do wiary, jednak słowo to jest dzisiaj najpiękniejszą piosenką, jaką nucę sobie od rana na różną nutę jakie się w sobi od dziecka uczyłem. Kopię zawzięcie ziemię, aby nie myśleć i rozbijam grudy rydłem, a ciągle mi się zdaje, że to nie pacyny wałę, a niemieckie lby: bauera, bauerkę; ciągle przed oczami miast grud widzę dzisiaj lby gestapowców i esesowców... Przewracam grudę za grudą, a tyle ich jest! Wałę tak, żeby mi pasowało razem z uderzeniami serca, co się w mej piersi strasznie dzisiaj łomocze... Idzie w moją stronę Hata, trzyletnia córka bauera. Podchodzi dzisiaj bojaźliwie, chociaż żyjemy zawsze w zgodzie. Co mi ta dziecko winno, kiedy i bauer umie ze mną żyć? że niemieckie? co mi do tego... Niemiec dla mnie, to taki Niemiec, co ludzi morduje. Mój bauer nie meczy mnie: fajerant mam u niego już o 9, a inni po bauerach muszą robić do 11, niedzielami nie robię, a u innych, chłopcy mają święto dopiero o 2 po południu: robię jak chęć, a on do roboty nie goni. No i „P” tylko niedzielami noszę. Mało takich Niemców, ale mój akurat fajny jest... czemu się mnie więc bój mała Hata? Często bawie się z tymi ciarachami i bauer też nie nie pyskuje, tak jak inni wrzeszczą na swoje bachory, żeby z Polakami się nie zadawali i uczyć żeśmy bandyty. Choć mi też bauer nie nie winien, ale lubię strasznie uczyć Hatę różnych słów i mam czasem dużo uciechy, kiedy Hata podejrze do swego fratra i powie: vater du bist skop! Vater, ty niemiecka winia! Vater, ty tupa... Co by ją dziś nauczyć? Staje przede mną Hata, ma patyczek w dłoni, wierci nim przede mną i pyta się:

— Peter, was ist das tupa?
— To jest po naszym niemiecku gamba.
— Was ist das nemicka gamba?
— Już ci mówiłem... idź do taty i powiedz tak: Vater, du bist bu!
— Ich weis doch was ist Putz... mein Hittlein auch hat Putz...
— Co ci się plecie... to co innego...
— Jak tam polaczku, jeszcze pracujesz? Rzucaj wszystko, kapitulacja człowiecze.
Jestem nachylony nad Hatą i aż boję się głowy podnieść, by się przekonać kto to do mnie mówi... jak z nieba spadły na mnie te słowa... to ktoś z Czechów, poznaje, bo nie wychodzi mu to jak naszym... ach, już wiem kto to: Zliczek: stary donosiciel wiadomości z londyńskiego radio...

Serce mi się coraz okropniej tłucze, mózg, jakby się gotował na marmeladę. Za dużo, za dużo, jak na jeden dzień... Czuję jakie też mogą mieć w tej chwili oczy, jaka też u mnie twarz... drzę cały, aż Czech podchodzi bliżej i powtarza to samo co już był powiedział... W tej chwili i koledzy Francuza zjawiają się, coś po swojemu szwargoczą i ciągle słychać „kapitulacion, kapitulacion”... chyba to prawda... Idzie do mnie André...

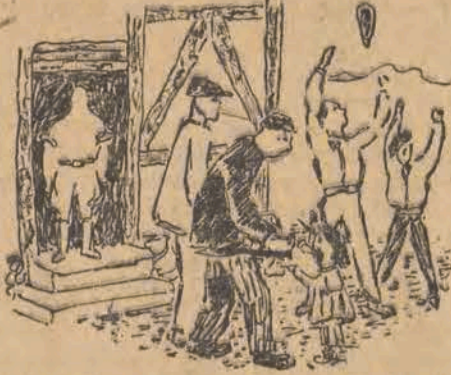
— Is fort... krik szon fertik... ales nyšt arbajt... bosz ganc kapitulacion... bosz kaput! liberte, egalite, fraternite! — wrzeszczy i czapkę rzuca w powietrze. Podchodzi na ten moment i bauer. Was ist denn dass? pyta się, ale takim głosem, jakby był nam co winien... jakbyśmy mu mieli głowę urznąć... boi się, chociaż wie, że mu nie od nas nie grozi.

Widać z jego pyska, że teraz nie bardzo mu się podoba, że Hitler przegrał i szlak go trafił... Jak tam za Hitlera było to było, ale zawsze to był swój fuhrer a nie obcy,

Czesław Schabowski

RANEK

taki kiedy zechce to da wnyki i tyła, a i za te różne zniszczone Warszawy, przecież



będzie bulił i taki co z Hitlerem był w stamnie, i taki co mu się przeciwiwał... Ej, rozumiem, że mu się nie podoba... Stracił głowę i idzie gdzieś... do stuby... przy radio kręci, chce się coś więcej dowiedzieć... ale ze stuby dochodzi coś co mu się na pewno nie podoba: „Hallo, hallo, Praha wojuje za swoju swobodu!” Podchwytuje to Hata, zrywa się i biegnie w stronę matki wrzeszcząca aż się Niemcy oglądają: „Alo, alo Plaha fobodu!” A dalej, podskakując na jednej nodze jak to zwykle dziecko lubi czynić, powtarza słowa Andrego „Klik feltik klik feltik! bo szkapat! bo szkapat! nyštal-bajt, nyštalbajt!”

Ach, pewnie to ona mojej żonie do stodoły zaniosła, bo, już Maryśka leci:

— Prawda to, co ta mała wygaduje? pyta się mnie. Nie mówię nic, bo mi bauer przeskądza: wyszedł w tej chwili z izby.

— Peter, Achtung, Niemcy skapitulowały na rzecz aliantów, ale z bolszewikami bijemy się dalej... no i praca idzie u mnie normalnie...

Co mu się stało? jaki to groźny się robi, a tak czasem na Hitlera wygaduje i z Czechami był w komitywie... I Czech też patrzy dziwnie na Niemca odmieńca, ale rozłożył się i syknął: — Nie słuchaj go człowiecze bo on już głupi bankrut! Rzucaj robotę!

— Dupi bantlut — powtarza Hata.
— Co robimy, Pietrus — pyta się moja żona.

— Liberte, egalite, fraternite — wrzeszcza Francuzi.

— I bte, fatenite idalite: powtarza znów Hata, zawsze przyczana, aby jakieś nowe słowo podchwycić i pochwalić się.

— Idziemy Maryś, mówię do baby, bo widzę, że Niemiec nasz się odmienił... jak przedtem, to mu się wojna nie podobala, a teraz widać że żaluje, że się skończyła...

Już Władka, mego krajana nie ma, już Czech poszedł sobie i Francuzi, więc i my walimy do naszego pokoiku na górę, łapiemy co się da i już wjeżdżamy do lasu, bo piekło przerażające rozpełtało się wokół nie na żarty, wszędzie huk i detonacje, naloty co chwilę: pożary, dymy, wojna: o kapitulacji ani słychno. Ale to nie: wolność idzie! Tylko, że nas przeraża myśl, że tuż u jej progu może z nami być źle bardzo... A tak pragnęliśmy zobaczyć jeszcze naszą kochaną wioskę ojców i kościółek... staw i pastwisko, Boże mój jedyny, toć się tyle lat tęskni do tego!

— Psiakrew, jakieś wariaty nie poddają się i pewnie będą się tutaj bić... mówi do mnie żona...

— Widzisz, Maryś, to jest takie „wszystko mi jedno” oszczonego zbrojca. Ale to nic, idziemy w stronę ognia, idziemy do lasu... w lesie zawsze w takich chwilach można się przydać lepiej niż tutaj, nie?

W tej chwili zaczęła się tak straszna strzelanina, warkot motorów i huk, że już pewnie do Hajdy przenoszą się walki...

Tadeusz Kajkowski

POZDROWIENIE

Skowronki w obłokach radosną nucą pieśń.
Żeby widzieć — trzeba oczy wysoko w górę wzniesić.
Otwórz okna szeroko na pole —
na wiosenny świat —
o świecie,
gdy z słońcem czerwonym na czole
stąpa z cicha wiatr
po młodym życie.
Albo wyjdź na łąki wczesnym rankiem bosy,
gdzie trawy ciężko dyszą — zapocone rosą!
Możesz piersią głęboko swobodnie oddychać.
Powietrze jest czyste jak źródłana woda,
pachnie ziemią i słońcem.
Wśród kwiatów i traw na łące
bzykanie pszczoł słychać.
Zieleń faluje świeża na zagonach.
A drzewa jak dziewczyny w sukniach białych stoją
i widokiem wspaniałym sycą duszę moją.

ilustr. A. Strumiłło

ważnego, takie pojedyncze wystrzały. — Jakby ktoś na wiatw strzelał, albo pozbawiał się niepotrzebnych naboł — mówię na głos.

— Czemuś Pietrus taki duren... ładne mi „wiwat”, jak tam nie jedno młode życie musza jeszcze dobrze kosić...

Znów milczymy, bo na prawdę uciszyło się, aż nas razi to, tak przyzwyczajeni jesteśmy już do tego piekła... Boć przecież, kiedy huk, to znaczy: walka; a wolność tylko wraz z walką przyjść może... Nad słuchujemy, wycęzamy wszystkie zmysły by wyczuć, co właściwie się dzieje, aż baba zdrzemnęła mi się. Ee, myślę sobie, kiedy ty śpisz — to znaczy: po wojnie.

I oto świta, a wciąż cisza. Ranek coraz bliżej, coraz spokojniej na świecie i nie, co by wskazywało na jakiś większe walki. I las nie szumi, wiatr przestał nawet dać i świerki co tak nocą chrzęściły gałęziami stoją znieruchomiełe jak husarze czekający w poszanowaniu na wjazd króla jego mości w ich szereg. Szarpia jeszcze ciepłym powietrzem pojedyncze detonacje, ale żadnego piekła już nie ma... ani śladu... koniec?

Nie powtarza się. Nasi chyba w Hajdzie. Jeżeli spokój po walce, to chyba tak. Dawno minęły te czasy, kiedy spokój po ogniu był heroldem zbirów. Cisza dziś dobra wieść niesie!

Coraz jaśniejszy ranek: dzień zmartwych wstaje, kwitnie w światło, przepycha lata teraz, w głębokiej ciszy, miast stawać się poważnym, zaczyna figlarzyć: już i słońce, niby czerwony, odpustowy balonik puszczony ręką dziecka wznosi się coraz wyżej i wyżej! Już też ponad krzakami, płacze się w najwyższych gałęziach! Oto już tak wysoko, jak kopia kościoła, a tu wciąż spokój i spokój, że zdaje się — ani się to wszystko.

Podnosi się moja baba, zdaje się nie rozumieć, gdzie jest.

— Pietrus, co to tak cicho?

— Chyba po bitce... Już dawno taka cisza...

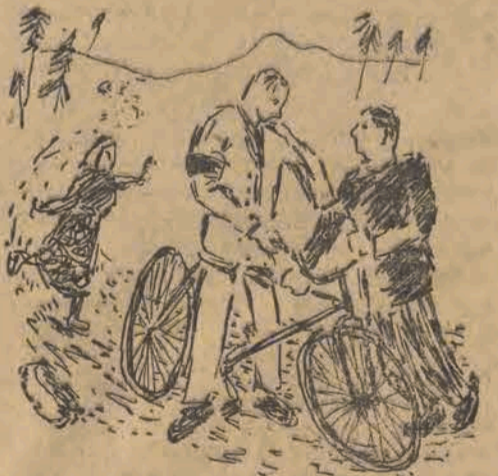
— To idziemy, co?

— Ano, idziemy.

Po drodze spotykamy jakiegoś rowerzystę. Nie wierzymy własnym oczom: na rękawie u niego czerwona opaska. Oczywiście bez swastyki! Od razu poznać, że dopiero na przedce okrzęcony. Chłopiec w wieku poborowym, a nie w mundurze, bez opaski volksszturmisty, to coś niezwyklego... to chyba Czech, który jedzie witać wkraczających braci-oswobodzicieli. Było nie było, trzeba zagadać po polsku.

— Hej, kluku, co tam słycać nowego?

— Człowiecze, kapitulacja! Niemczuchy oddają broń, władzę obejmują Czesi, za godzinę mają być u nas sowieckie wojska!



Uległem takiemu wzruszeniu, jakie chyba odczuwa skazany na śmierć stojący przed egzekucyjnym plutonem w chwili, gdy mu przynoszą ułaskawienie... Chwytam się ramy roweru Czecha i nie puszczam.

— Prawdę pan mówi?

Czech rozumie, że trudno w to uwierzyć, nie dziwi się więc, a powoli, spokojnie wyjaśnia mi, opowiada, co zaszło dzisiejsze, z 8 na 9 maja nocą.

I tak radując się wspólnie, kręcimy już obok domu mego bauera! Stoi on z całą grupą wystraszonych Niemców na swym podwórzu i z ibem zwieszonym, jak cię w rzeźni, coś szwargocze... Nie boi się nikogo z Polaków, nie boi się mnie, bo nikomu z nas krzywdy nie zrobił, ale pochmurny okrutnie, jakbym go szedł wieszać. Żyłem z nim cały czas dobrze, więc go nie omijam bez pozdrowienia. — Guten Tag! krzyczę w jego stronę.

Spojrzał. Ale ani słowem się nie odzywa do mnie. Dlaczego? Przecież cały czas żyliśmy nie jak Polak i Niemiec, a jakby dwaj Polacy: parobek i gospodarz. Teraz widzę nienawiść w jego ślepiach... dziwne... przecież mi nie złego nie zrobił i wie, że nie idę go rznąć... A może już wie, że Prusy Wschodnie i to, co nam zrabowali już jest na wieki nasze i za to trzeba nas nienawidzić? Może nienawidzi mnie za to, że będzie musiał Sudety opuścić? Niezbędne są tajemnice niemieckiej nienawiści.

Edmund Calka

Bunty i powstania chłopów opolskich

na przełomie w. XVIII i XIX (I)

ZAMIAST WSTĘPU

Krwawe zmagania chłopów polskiego, zamieszkującego tereny dzisiejszej Opolszczyzny, o społeczne i narodowe wyzwolenie spod jarzma pruskiego z końcem XVIII i na początku XIX w. nie znalazły dotychczas odpowiedniego rozdziału w historii walki narodu polskiego z odwiecznym wrogiem germańskim. Literatura polska zupełnie pominięła fakty buntów i powstań pańszczyźnianych chłopów, pracujących dzisiejszych autochtonów opolskich. Niemcy z całą premedytacją i z iście germańską skrupulatnością niszczyli to wszystko, co pozostawione w pisanej spuściznie, mogło przypomnieć światu o wywoleńskich walkach śląskiego ludu, co mogło zadawać kłopot ich propagandzie o niemieckości Opolszczyzny.

Pozornie ciemne masy dławione pruską przemocą raz poraż powstawały samorzutnie, świadome walki, zdecydowane na wszystko — w okresie, kiedy na innych ziemiach polskich chłop zaczynał dopiero przeczuwać walkę o społeczne wyzwolenie, o nowy lepszy byt.

Niech praca niniejsza choć w części wynagrodzi bohaterstwu ludowi Opolszczyzny gorzki historyczny zapomnienie.

W TROJAKIM PODDAŃSTWIE

Sytuacja, w jakiej znajdował się lud polski na terenach dzisiejszej Opolszczyzny z końcem XVIII i na początku XIX w., była wręcz katastrofalna. Wieś, uciskana na każdym kroku z jednej strony przez władzę pruską, widząc w niej jedyną ostoję polskości, z drugiej — wyzyskiwana w straszny i nieludzki sposób przez zupełnie zniemczone lub ulegające procesowi germanizacji ziemiaństwo, coraz bardziej tęsknym okiem spoglądała ku Polsce, która wydawała się jej wynisnionym rajem, jakkolwiek i tam stosunki społeczne nie układały się lepiej.

Własności prywatnej chłopskiej właściciel nie było na Opolszczyźnie, chociaż chłop siedział na roli, obrabiał w święta i wieczory ziemię, posiadał chałupę, a nawet inwentarz żywy i martwy. Chłop bowiem z całą rodziną był własnością swego pana jako jedynie zwierzę robocze czy przedmiot codziennego użytku. Pan — obojętnie czy to był ziemianin, biskup czy choćby nawet sołtys — w powiecie nyskim i grotkowskim istniały jedyne na terenie Polski sołtysostwa pełnoprawne, z władzą sądowniczą, sprawujące we własnym zakresie patronat nad szkołą i kościołem — był panem życia i śmierci chłopów, który nie mógł opuścić wsi bez zezwolenia dworu, był sądzony przez dziedzica lub jego zastępcę. Za wszystko chłop musiał płacić daniny. Dwory żądały wysokich opłat nawet za pozwolenie na zawarcie małżeństwa etc.

Trojaki poddaństwo (osobiste, gruntowe i sądowe) połączone ze stałym wzrostem zadłużenia wsi, wytworzyło nową warstwę proletariatu chłopskiego — chałupników, których pod koniec panowania Fryderyka II liczone na terenie kilku powiatów c-a 50.000 ludzi. Komornicy ci nie posiadali gospodarstw ani domów. Mieszkała po kilka rodzin w jednej izbie wydzierżawionej im z łaski dziedzica w zamian za robotę dniówkową na każde żądanie pana. Byli to chłopcy, których zadłużenie u dziedzica pozbawiło gospodarstw i wtrąciło w skrajną nędzę.

Oprócz chałupników na terenie Opolszczyzny w tym samym czasie przebywało w okropnych warunkach około 40.000 komorników, handlarzy lub robotników. Nędza tych nieszczęśliwych istot nie ma chyba równej w dziejach ludzkości.

Rząd pruski celowo nie interesował się losem chłopów, wręcz przeciwnie — szedł na rękę magnaterii i drobnemu ziemiaństwu, wychodząc z założenia, że nędzą materialną zabije w duszach polskości, że tą drogą wieś, nie widząc innego wyjścia, powoli ulegnie procesowi germanizacji.

Chłop jednak nie uległ. Żył w nędzy ale polskości trzymał wysoko jak sztandar. Według opinii Niemca z okresu Fryderyka II, von der Goltza, chłop polski, jak również komornik czy chałupnik stanowił

element wartościowy i inteligentny, wysoko stojący pod względem moralnym i narodowym.

EDYKT KRÓLEWSKI Z 1754 r.

Najbardziej chyba w historii chłopstwa krzywdzącym prawem był edykt z r. 1754, wydany w myśl żądań ziemiaństwa, które przy zabieraniu gospodarstw chłopskich chciało się oprzeć na pewnym prawie, aby tym szybciej i sprawniej dokonywać rabunków chłopskich posiadłości pod pozorem niemożności spłacania zadłużeń przez wieś. Po raz pierwszy w historii edykt królewski sankcjonował bezprawie i zwykłą grabież prawem silniejszego. Jedynym warunkiem zajęcia zadłużonego gospodarstwa był obowiązek osadzenia na nim 2-3 zagrodników czy chałupników oraz przejęcia zaległych podatków, co dla dziedzica nie przedstawiało żadnych trudności, wręcz przeciwnie — czysty zysk: zagrodnicy byli pod ręką, zaległości podatkowe przechodziły na nich z kolei. Dziedzic miał siły robocze bezpłatne.

Siły te musiały nie tylko obrobić przejęte gospodarstwa, ale i inne ziemie pańskie. Na każde zawołanie musiały być do dyspozycji dziedzica wraz z całą rodziną i posiadany inwentarz martwy i żywy. Na mocy tego edyktu chłop tracił wszystko i stawał się nędzarzem w roli niewolnika, raba roboczego.

Szlachta zaś bez żadnego wysiłku ze swej strony, stwarzając jedynie fantastyczne cyfry chłopskiego zadłużenia, nawet bez względu na to, czy chłop regularnie uiszczał wszystkie wyznaczone przez dziedzica powinności, — zyskiwała i ziemię i nowe siły robocze na swoją wyłączną własność. Decyzja dziedzica była ważna wobec prawa i nie można jej było odwołać, chyba jedynie na wyraźne życzenie króla. W układzie społecznym chłop był zerem, pionkiem w rękach swego pana, który z nim postępował według własnego uznania. Chłop był wyjęty spod prawa — stanowił przedmiot, narzędzie — nie więcej.

Edykt królewski był iskrą rzuconą na prochy. Chłop nie wytrzymał dłużej upokorzenia i męki niewolnictwa. Wieś straciła cierpliwość.

Połączyli się wyrzuceni z gospodarstw z tymi, co jeszcze na nich siedzieli — w oczekiwaniu na swoją kolejkę. Los wszystkich chłopów był teraz jednakowy: edykt w równej mierze dotyczył wszystkich. Instynkt samoobrony przemówił — siłą.

Wieś postanowiła bronić swych praw do życia, swojej ojcowizny.

PIERWSZY ZRYW W r. 1766

Co energiczniejsze, przywódcze jednostki z pośród ludu nawoływały już z chwilą ogłoszenia edyktu do stawiania oporu szlachcie przy usiłowaniu zajmowania gospodarstw. Szlachta miała jednak dobre płatnych sługusów, którzy przy zastosowaniu siły, bata lub zamknięcia w piwnicy likwidowali w zarodku nawet najmniejszy cień oporu. Dlatego postanowiono, oczywiście w jak największej tajemnicy, zmienić taktykę postępowania i wystąpić gromadnie. „Niech siła oprze się sile” — mówiono między sobą.

Uszykowano kłonicę, widły, cepy — co kto mógł, zabierał z sobą i wychodził w nocy do lasu na umówiony punkt zborny — na sejm chłopski. Sclerano się z sobą i kłócono, kto ma przejąć dowództwo, gdzie najpród uderzyć czy tylko zaprzestać robot pańszczyźnianych na znak protestu.

Przez kilka nocy z rzędu toczyły się narady, aż wreszcie na hasło dane z Raciborza, gdzie wytworzył się silniejszy ośrodek dyspozycyjny z zasięgiem kilku powiatów, zaprzestano robot pańszczyźnianych, odmówiono wszelkich świadczeń. Mężczyźni uszli w lasy uzbrojeni, kobiety i dzieci zajęły się dostarczaniem środków żywności oraz informowaniem o zachowaniu się wrogów — dziedziców, duchowieństwa, sołtysów i władz rządowych. Bunt ogarnął równocześnie powiat raciborski, pszczyński, bytomski i toszecko-głiwicki.

Zamarło wszelkie życie. Był to chyba najcięższy w świecie bunt: nikt właściwie

nie żądał niczego, nie krzyczał, nie protestował. Niemy, twardy bunt chłopów, którzy zaczęli się w sobie, zamknął, zacisnął pięści i czekał, gotowy do podjęcia walki swą mizerną bronią.

Był okres żniw. Szlachta nie wiedziała co począć — bezsilna. Raz po raz pędzili konni posłańcy do władz pruskich z prośbą o interwencję. Gabinet landratów załatwione były skargami, prośbami, zakłeczeniami. O rozwiązaniu czy choćby tylko o próbie rozwiązania zagadnienia chłopów nikt nie pomyślał. Chłop musi powrócić do pracy — to jego obowiązek.

Na konferencjach szlachty z landratami postanowiono siłą zniszczyć bunt i chłopu raz na zawsze wybić z głowy myśl o poprawieniu bytu.

Pierwszy punkt miało zrealizować wojsko pruskie, drugi — zobowiązała się wypełnić co do joty szlachta, a właściwie junkrzy niemieccy.

Wkrótce przyjechał z Toszka landrat von Sack na czele szwadronu huzarów celem poskromienia opornych przy użyciu wiecznych tych samych metod pruskich — bezwzględności wobec każdego spotkanego czy schwytanego chłopca. Szwadron penetrował wioskę za wioską, wszędzie pozostawiając trupy, rannych i pobitych.

Landrat z Toszka miał wielką uciechę, wydając rozkaz strzelania na chybił trafił do napotykanych po drodze ludzi — obojętnie: mężczyzn, kobiet czy dzieci. Dla strachu spalono kilka chałup pod pretekstem, że ukrywali się tam buntownicy. W każdym domu przeprowadzano rewizję zabierając ostatni dobytek chłopca.

Każda wioska była posadzona o udział w buncie, każda wieś powinna też ponieść karę. Krwawy landrat kazał ścigać z każdej wioski ludność męską w jedno miejsce dla wymierzenia zasłużonej kary — każdego pędzono przez „praszczytę” czyli rzęgi, dając każdemu z domniemych uczestników ruchu społecznego do 150 batów na gołą skórę, celem wyzbycia go na przyszłość wszelkich myśli o buntach i rozruchach.

W niektórych wypadkach dziedzice odmówili prawa pobytu w wydzierżawianych przez siebie domach tym wszystkim, którzy posądzeni byli o udział w spisku, wskutek czego okaleczeni, bez środków do życia, bez możności ruchu, skazani byli na straszną poniewierkę, na okropne tułactwo od wsi do wsi, od lasu do lasu.

Innym środkiem karnym był t. zw. śpiączasty osioł czyli znana ogólnie w średnio-wieczu kobylica, w której zamykano nieszczęśliwców na kilka dni z rzędu bez możności zmiany pozycji głowy czy układu ciała, — każdy ruch, zmierny do zmiany niewygodnej pozycji groził uduszeniem. Całe wioski jęczały pod krwawym bitem najeźdźcy przez długie miesiące, zanim okrutne szwadrony huzarów pruskich nie stłumiły doszczętnie powstania.

„Bohaterski” landrat z Toszku, opromieniony chwałą i blaskiem pogromcy buntującego się chłopstwa z terenu kilku powiatów Opolszczyzny, wracał jak triumfator do swojej powiatowej stolicy, zyskując sobie uznanie i pochwały ze strony władz, straszną nienawiść i chęć zemsty ze strony chłopstwa.

Bunt został stłumiony, chłopcy wrócili do swojej pracy, oplakując straty swych najbliższych, lecząc rany. Ale myśli o nowym ruchu, lepiej zorganizowanym i w szerszym zakresie przeprowadzonym, nie dawała spokoju upartym chłopom, którzy bez względu na ofiary zrealizować chcieli swój program społeczny nieokreślonej może jeszcze treści, ale wielki i mający przed sobą oibryzmią przyszłość.

Przemoc pruska nie zdołała powstrzymać tych sił, które w codziennych zmaganiach z przeciwnościami losu i pogwałceniem społecznym, zaczęły wyzwaląć się w chłopskich duszach z coraz większą siłą, coraz silniej dochodzącą do głosu i coraz głębiej przeorywującą niewolniczą psychikę chłopca.

W PODZIEMIACH OPOLSZCZYZNY

Wieś o ruchach, mających na celu poprawę warunków upośledzonej klasy spo-

łecznej — ludu śląskiego — lotem błyskawicy obiegła cały Śląsk. Jakkolwiek ruchy zostały krwawo przy użyciu pruskich knechtów stłumione, to jednak myśl o walce w imię praw człowieka do społecznego wolnego życia padła na odpowiedni grunt, rozwijała się w tajemnicy po lasach, płonęła po chatkach, zdobywała coraz więcej zwolenników.

Wytworzyła się nie narzucona przez nikogo, samodzielna, oddalona, przez nikogo właściwie nie kierowana konspiracja ludu śląskiego, który wszedł do podziemi przygotowywać się do walki ze strasznym terrorem pruskim i zmorą pańszczyzny.

Nie było właściwie przywódców, nie wytworzył się silniejszy ośrodek dyspozycyjny — lud sam przewodził sobie przez lokalne dowództwa, które powoływał na masowce leśnej, sam opracowywał plany uświadamiania społecznego, sam stworzył coś w rodzaju dzisiejszych pogadanek czy kursów, na których obok rejestrowania każdej krzywdy, wyrządzonej przez żołdaków pruskich lub dwory, omawiano najważniejsze problemy i zagadnienia wsi.

Zaroiły się lasy od masówek w powiecie kluczborskim i oleskim. Nie było dnia, żeby od wsi nie pędził posłaniec czy emisariusz ludowy z nową wieścią — pociechą radosną lub przynęceniem i smutkiem.

Nie się w terenie nie stało, czego by nie przedyskutowano na wspólnych zebraniach. Chłopi z odległych miejscowości nie raz szli pieszo i nocami, by przybyć do umówionego miejsca i we wspólnej pogwarce w serdecznej, bratniej gromadzie omówić wszystkie bolączki, zastanowić się nad położeniem socjalnym wsi, rozpamiętać krzywdy, ustalić wytyczne działania.

Brak było przywódców i organizatorów. Wieś z więzów poddaństwa, ze strasznej niewoli pańszczyźnianej przecierała dopiero oczy, nie miała jeszcze sił — instynktem czuła jednak moc, budzącą ją z tyłowiekowego letargu do nowego życia. Typ przywódcy — jednostka silna, mogąca skoncentrować wszystkie pojedyncze wysiłki wsi — jeszcze się nie wytworzył, ale mimo to chłop solidarnie stawał na głos wewnętrzny buntu przeciwko krzywdzie społecznej w karnej gromadzie domagających się praw socjalnych i sprawiedliwości społecznej oraz wyrównania dziejowych krzywd.

Sejmiki chłopskie zalecały organizowanie nauczania przez szerzenie czytelnictwa. Książka była drogą i przez to niedostępną, pomimo to jednak każda prawie wieś w chwilach wolnych od pracy, a zwłaszcza w długie, zimowe wieczory na wspólnych zebraniach, własnymi siłami, bez pomocy nauczycieli uczyła się czytać bądź to z biblii czy z książeczek do nabożeństwa, bądź też z dzieł autorów ówczesnej doby.

W okresie Konstytucji 3-Majowej znaleźć można było na wsi dzieła jej twórców, rozchwytywane przez chłopów i komentowane jako z jednej strony zmierzające do podniesienia „ludu pospolitego”, z drugiej — ukazujące nowe perspektywy połączenia Śląska z Macierzą w wyniku odrodzenia narodowego i rozumy politycznego przywódców nowej rzeczywistości polskiej, opartej na zasadach Konstytucji z 1791 r.

Dużą pomocą w kształtowaniu oblicza chłopca opolskiego była gazeta — pierwsze pismo dla ludu pt. „Gazety Śląskie dla ludu pospolitego”. Gazeta ta zaczęła wychodzić jeszcze na rok przed Konstytucją Majową, w życiu wsi stając się bardzo ważnym wydarzeniem.

Chłop opolski miał własne pismo w tym czasie, kiedy inne ziemie polskie spały jeszcze w najlepsze, kiedy warstwa najbardziej uprzywilejowana i rządząca nie mogła się czymś podobnym poszczycić.

Wraz z gazetami dochodziły coraz ciekawsze wieści ze świata i z Rzeczypospolitej, wieści cudowne o przemianach, o rewolucjach i przewrotach. I znów ożywiały się lasy i znów radzono nad sytuacją i znów krew silniej w żyłach zaczęła kipieć, znów rozdił się w sercach bunt, nieciło się zarzewie walki... (d. c. n.)

Józef Andrzej Frasiak

WSPOMNIENIE O WINCENTYM KUGLINIE

Wspominam zawsze ze wzruszeniem ten dzień odległy już bardzo, kiedy jako student krakowskiego gimnazjum poznałem latem na wakacjach Kuglina. Byłem wtedy po szóstej, Kuglin po piątej klasie gimnazjalnej. Moje zamiłowania dalekie były jeszcze wtedy od tego, co określa się jako t. zw. „literaturę”, interesował mnie wtedy raczej sport, jeśli w ogóle to można nazwać zainteresowaniem, na jakie skromnie można sobie było pozwolić przy ustawicznej pracy około gospodarstwa rodziców. Pamiętam go dobrze: szczupły, wyższy ode mnie, z jasną jak len czupryną zaczesaną do góry. Oczy miał niebieskie. Był to więc żywy człowiek, jakby wyjęty z sielankowego opisu: te włosy jasne jak słońce, jak kolor zbóż dojrzewających, te oczy niebieskie jak chabry. Był taki słowiański na wskroś, polski — a ludowy zarazem.

To był zewnętrzny rys człowieka, którego dotąd noszę w sobie. Był urodzonym humorystą i kpiarzem, w dobrym tego słowa znaczeniu. Przelewała się przez niego młodość żywa, bujna i pełna. Ta cecha charakteru zjednywała mu wielu przyjaciół, których umiał oczarować już wtedy swoją beztroską pogodą.

Nie od tej jednak strony przyszło moje poznanie z Kuglinem, ani nie od tej strony wywiązała się między nami serdeczna przyjaźń. To zbliżenie przyszło skądinąd. Kuglin był poetą! Rozczytywał się już wtedy na dobre w poezji, próbował tworzyć sam. Szedł poomacku. Mimo że piękno niektórych arcydzieł literatury odłonić mu mogła już szkoła, „na własną rękę” rozczytywał się w poetach Międej Polski, do romantyków zaglądając niekiedy, pisał pod ich urokiem. Pisał pod urokiem Tetmajera, Kasprowicza, Lenartowicza, Konopnickiej, później Or-Ota... Nie byli to wszyscy poeci godni naśladowania. Te próby wierszowania albo poezjowania, którymi zachwycał nas już wówczas, z perspektywy lat kilkunastu wydają się dziś naiwną igraszką słowną — a jednak ujmują nas owym prymitywem artystycznym, którym Kuglin po raz pierwszy próbował ujmować swój ubożuchny jeszcze świat przeżyć. Ież to raził czytywał nam nad rzeczką prądnicką, nad Białuchą, prościutkie w formie wiersze swojej najpierwszej młodości. Kiedyś Górnicki w „Dworzaninie” wspomina o tych samych stronach: „Tuż u Krakowa jest rzeczka Prądnik...” Ta sama rzeczka prądnicka obrosła olchami była terenem naszych pierwszych spotkań. A u gruszy — starówki, jak u czarnońskiej lipy, rosnącej koło naszego domu, ile wierszy naczytał — ile historii przyszłych snu? Wspominam o tym jeszcze dziś z rozrzewieniem i zadumą. Tu bowiem urodziła się moja liryczna muza. Mogłem przecież zostać później kupcem, albo księdzem, — a tymczasem? Tu urodzona moja sielska muza już pozostała mi niedostępną towarzyszką aż po dzień dzisiejszy.

A przy jej narodzeniu Kuglin odegrał niepoślednią rolę.

Gdyby mi dziś przyszło odpowiedzieć na pytanie, jak zostałem poetą, nie mógłbym pominąć następującego faktu: któregoś dnia lipcowego na wakacjach, Kuglin, zadufany już trochę w sobie, zaproponował mi napisanie wiersza, sądząc, że temu zadaniu nie sprostim. Podał mi nawet za temat burzę. Sprawa szła prawdopodobnie o zakład. Wiersz miał być gotowy na drugi dzień. Przypominam sobie dobrze ten wieczór, kiedy po raz pierwszy chwyciłem za pióro, aby napisać wiersz, który nie był przecież moją potrzebą wewnętrzną a rozdził się tylko z zamówienia. Mój, pożałuj Boże, pierwszy wiersz! Było to w roku 1928. Pamiętam, jak od razu pod Mickiewiczowską burzę z Pana Tadeusza, wyrąbałem tego wieczora ponad sto pięćdziesiąt trzynastogłoskowców, w które zamknąłem burzę tyle razy oglądaną w naszych stronach. Rozczytywałem się wtedy w Panu Tadeuszu, żyłem pod urokiem tych pogodnych i pięknych wierszy, zwłaszcza owych opisów przyrody, wschodzącego i zachodzącego słońca, burzy i t. p. — nic więc dziwnego, że pierwsza moja realizacja „poetycka”, że pierwszy mój wiersz sięgnął po wszystkie elementy Mickiewiczowskiego stylu, który jakże nieudolnie

jeszcze mogłem wtedy naśladować. Urodził się pierwszy mój wiersz, który stanowi dziś dla mnie najlepszą ilustrację t. zw. wpływów i zależności, jakie ustawicznie zachodzą w literaturze. Gdy niedawno przeczytałem wiersz Jana Marcinka p. t. „Burza”, będący też wiernym naśladownictwem burzy z Pana Tadeusza — dzień narodzin pierwszego mojego wiersza stanął znowu przede mną z owym rozrównieniem, z jakim wspominamy zawsze pierwszą młodość. Powróćmy jednak do rzeczy: następnego dnia odczytałem ten wiersz Kuglinowi. Chwalił jak mógł, wytykał tu i ówdzie pewne „niedociągnięcia”... Jakież zresztą mógł znaleźć tam błędy, on kilkunastoletni młodzieniec, od kilku miesięcy zaledwie parający się wierszem? Jakież mógł mieć wtedy kryteria, jakie sprawdziany, jaką miarę oceny ów kilkunastoletni poeta nie znający jeszcze wtedy nawet poetów Skamandra! Stało się jednak. Rozkosz płynąca z tworzenia, z owej czynności, która nazywa i przyzywa rzeczy nieznanne, która ubiera w realny kształt poetyckiego słowa to, co przeżyte i minione — to pierwsze moje spotkanie z muzą zwyciężyło mnie już na zawsze. Napisałem w następnych dniach potem jeszcze kilka wierszy — i, o zgrozo, jeden z nich zanieśiony do redakcji ludowego tygodnika „Rola”, gdzie Kuglin już od kilku miesięcy drukował swoje pierwociny, został wydrukowany. Po kilku miesiącach poezjowania drukowałem już w dodatku literacko-naukowym I. K. C., a niedługo potem i w pismach literackich. Tak urodziła się moja liryczna muza.

Był Kuglin z tych małorolnych chłopów, którzy szli za granicę na poszukiwanie chleba, gdy tu w kraju, mogło go być dla wszystkich a jednak było za mało. Rodzice poety jak i krewni, tak ze strony matki jak i ojca, pochodzili z okolic Oświęcimia, Zatora i Wadowic, gdzie dotychczas rozrzuceni, orzą i sieją. Niebogata to ziemia ani rozległa. Poletka rozdrobnione miedziami, ziemi niedużo. Stąd przed pierwszą wojną światową szła fala sezonowych robotników rolnych na „Sachsy” i do Danii. A fala ta nie ominęła także i rodziców poety. Tam też, na obcej ziemi (w Danii) urodził się Kuglin w roku 1909. Powrócił jeszcze w dzieciństwie do kraju i wychowywał się zrazu na wsi w rodzinnych stronach swoich rodziców — później na wsi pod Krakowem (w Prądniku Czerwonym). W przystępie dobrego humoru szczylił się tym swoim „urodzeniem” w Danii, o której wyrażał się zawsze ze wzruszeniem. Zawadzi w późniejszych latach swojej twórczości o te czasy w wierszu pt. „Rozmowa z Andersenem”, gdzie zamyka całą tęsknotę za tym „uczyniowym

i bogatym krajem”, który stał się krajem jego lat dziecińczych: „Nad moją głową nie szumiało niebo melodią, kołysanek, nad rodnią ziemią duńską grzmiało, gdy w Randers przyszedł w zły poranek. I odtąd wicher gna po świecie, węszy mnie w tłumnym ludzkim lesie — polskie z obczyzny małe dziecię już nikt na powrót nie odniesie. O, Andersie, po co bajki? Już twoją mową nic nie powiem!” — pisze poeta w wierszu p. t. „Rozmowa z Andersenem”.

W ustawicznych niedostatkach materialnych przeszedł przez gimnazjum a w czasie wakacji letnich, zamiast wyjechać na odpoczynek, pracował we młynie jako robotnik, później jako sekretarz gminny w Prądniku Czerwonym. Piął się w górę jak mógł w owych trudnych czasach, gdy synowie ziemian i bogatych kupców, jako złota młodzież, ubrani dostatnio i syci, mogli korzystać ze wszystkich dobrodziejstw „kultury”. Pisał wiersze, urządził poranki na przedmieściach, organizował świetlice, reżyserował, brał udział w przedstawieniach, pisał felietony w pismach ludowych, jeździł jako reporter po parafiach, po uroczystościach ludowych — zawsze czynny i ruchliwy. Wspólnie z L. Wierzchowskim próbował nawet wydawać jakiś czas na Prądniku Czerwonym czasopismo p. t. „Wieś i miasto”, którego wyszło z górą dwadzieścia numerów. Deficytowe to czasopismo subwencjonował bogaty gospodarz cegielni w Prądniku Czerwonym, Marcin Wencel. Drukował w tym czasie Kuglin w „Roli” za redakcji Basary, — w dodatku literacko-naukowym I. K. C., w Gazecie Literackiej, w Dzwonie Niedzielnym — że wymienimy tylko najważniejsze. Miał wielką łatwość rymowania. Improwizował też niekiedy na wieczorkach, układał piosenki pod muzykę, odpowiadał wierszami — to nie było małe! Rósł w środowisku chłopskim, które ubożone materialnie, traciło z wolna swój charakter ludowy — a stawało się środowiskiem proletariackim. Był jakby poeta z pogranicza. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę organizując wspomniany czasopismo „Wieś i miasto”. Co tu z socjologicznego punktu widzenia mogło być ciekawe — nie doszło do głosu w poezji Kuglina, który pozostał raczej wierny wspomnieniom wiejskim z lat dziecińczych.

Co możemy powiedzieć o poecie dziś? Oto ostatnie wspomnienia jakimi możemy ogarnąć odeszłego poetę, to wrzesień 1939, wojna z Niemcami, potem tułaczka po obcych krajach, udział w walkach we Francji i Norwegii — i cisza. Norwegia kryje tragedię poety, o czym do dziś dnia nikt nie bliżej podać nie może. Dziś możemy napisać tylko tyle, że żył kiedyś, że był... Tyle, co napisać można o człowieku, o zaginionym bez wieści.

Stanisław Ciesielczuk

Z jakąś wielką czułością dawno zapomnianą
nurzam oczy w różowej mgle nieba o wschodzie,
uśmiecham się dzieciennie skoszonemu sianu
i wielu zwykłym rzeczom, które widzę co dzień.

Niedojrzałe owoce wpięte w bujną zieleń
pachną wspomnieniem wiosny przekazanym latu
i tymi, których nie ma, których było wiele,
kwiatami jedynymi spośród wszystkich kwiatów.

Garnę do siebie zboże, co dzieciństwu memu
dało woń świeżą, mocną i szepł swego głosu,
palce błędzą wśród szorstkich i wąsatych kłosów
wyrosłych licznie z żywej gleby czarnoziemiu.

O, lepiej by mi było spędzić życie tutaj,
bruku miast rozkrzyczanych nie dotykać stopą,
niż z mgłą żalu, co oczy zasłania rozsnuta,
zazdrościć teraz szczęścia biednym, prostym chłopom...

OD WYDAWCY. Z posiadanych przeze mnie dość licznych rękopisów s. p. Stanisława Ciesielczuka z wczesnego okresu Jego twórczości, ocalało mi przypadkiem kilka. Jeden z nich ogłaszam obecnie jako charakterystyczny dla stosunku poety do wsi, do rodzinnego zakątka, do którego wciąż powracał powodowany tęsknotą i miłością ziemi tych „wielu zwykłych rzeczy”, które na wsi się dzieją.

A. Szozerbowski.

Co napisał, co zostawił po sobie ów młody wielbiciel muz, poeta zagubiony w odmętach wojny? Jakże są te obiektywizacje, te okrucy jego pracy literackiej, które świadczą mogą, że był i kim był? Oprócz drobnych artykułów i felietonów drukowanych w prasie ludowej i wierszy okolicznościowych pomieszczonych w latach 1928 do 1939 w tygodniku „Rola”, w dodatku literacko-naukowym I. K. C., Gazecie Literackiej i t. p. Kuglin zostawił po sobie trzy skromne książki poetyckie: „Po drodze”, poezje, stron 32, Kraków 1935; „Młyn Boże” poezje, stron 37, Kraków 1937 (nakładem Franciszka Łuczywy), oraz w tym samym roku „Młyn Boże” jako wydanie bibliofilskie (30 nie sprzedanych egzemplarzy) w bibliotece Jana Kuglina w Poznaniu, stanowiące dziś rzadkość bibliofilską i „Kwitające Krzyże”, poezje, stron 32, Poznań 1939. Kilka recenzji z tych książek zostało w czasopiśmie („Kultura” Nr 51-52 z r. 1937) omówione. „Młyn Boże” w książce Kazimierza Czachowskiego pt. „Najnowsza polska twórczość literacka” wydanej w roku 1937, wzmianka o nim w książce „Cierniste ścieżki literatury ludowej” Józefa Kapuścińskiego wydanej w ostatnich miesiącach — i to by było wszystko...

Pisząc o Kuglinie nie sposób pominąć nazwisk dwóch chłopów z Prądnika Czerwonego, dwóch mecenasów literatury. Pierwszy z nich to Marcin Wencel, gospodarz i właściciel cegielni finansujący czasopismo „Wieś i miasto”, drugi, to Franciszek Łuczywo, którego nakładem wyszły „Młyn Boże” Kuglina. Czy nie rzadkie i piękne? Dwaj chłopci w roli mecenasów literatury! Na tle dwudziestolecia międzywojennego, kiedy państwo tak mało zainteresowania okazywało dla oświaty na wsi, z perspektywy kilkunastu lat te dwa drobne fakty nabierają szczególnego znaczenia.

Tak ilościowo, jak i jakościowo literacki dorobek Kuglina jest skromny. Przeważają liryka, wiersze krajobrazowe, okolicznościowe, utwory krótkie, tradycyjne przeważnie w formie, rymowane, tu i ówdzie asonansem ubrane. Kuglin był poetą tradycyjnalistą. Nie znajdziemy u niego ani wyszukanych metafor, ani modnych chwytów poetyckich. Wiersz buduje przeważnie w stare zwrotki, o pełnym przeważnie rymie. Luźniejszy chyba rytm tych skromnych utworów wskazywać może, że poecie nie obca była poezja lat międzywojennych. W „Kwitających krzyżach” i „Młynach Bożych” podjął tematykę religijną, wszedł w metafizykę, której zagadnień jednak artystycznie nie potrafił oryginalnie zaakcentować. Nie związał się też Kuglin z żadną grupą poetycką, siedział luzem, poomacku. Nie był też poetą buntu społecznego. Był poetą łagodnych sielank, widzącym sens życia poprzez poezję łagodną i uśmiechniętą. Nie był też poetą wysokiego lotu, ani tonów wysokich. Śpiewał jak umiał. Śpiewał krajobraz polny i wesoły, niedzielny rzeć by można, nastrój wsi. Był poetą nieostającym jeszcze i nieokręplym co do formy — i niepoznanym jeszcze w swoich możliwościach poetyckich.

Jako syn chłopski, moźolnie dźwigający się ku górze własnymi siłami, ku nauce i literaturze — jako poeta i żołnierz nieznanego zagubiony na obcej ziemi, zasługuje na wspomnienie serdeczne, jakie winno się tym, co już nie wróca.

W OSTATNIM 16 (95) NUMERZE

„WSI”

z dnia 20 kwietnia 1947 r.:

Julian Rataj — W odwiedzinach u czeskich rolników; A. Mołodezykow — Przyroda i mistrzowie — tłum. Tadeusz Chrościelewski; Dr Mieczysław Kafel i Amalia Zielewicz — 50 lat pracy-kobiety wiejskiej; Władysław Dunarowski — Ofiarowanie; A. F. Kirlo-Nowaczyk — Oracz; W. K. — Nad Nysą; Stanisław Grabowiecki — Wiosna; Jan Marszałek — W obronie metafory; Dyzma Gałaj — Ciotka z Mystkowic; Adolf Kotarba — Listy ze Śląska; Fakty i zdania, 4 ilustracje, ogłoszenia, 8 stron.

E. Kwiatkowska

Ubezpieczenia społeczne wczoraj i dziś

Ubezpieczenia społeczne wczoraj, to nie tylko ten okres od końca XIX w. kiedy to Niemcy po stosunkowo najkrótszym czasie, w porównaniu z innymi państwami, teoretycznego zainteresowania, zagadnieniem, przystąpiły do jego realizacji, ale i ten poprzedni bezporównania dłuższy, ten okres utopijnych doktrynerskich rozważań i pomysłów sięgający końca XVII w. W tym bowiem czasie po raz pierwszy publicysta romansopisarz angielski Daniel Defoe, wystąpił z formułą ubezpieczeń przymusowych i powszechnych. Można sięgnąć jeszcze dalej, aż do średniowiecza, ponieważ już wtedy istniało pojęcie ubezpieczenia, a nawet pewna jego konkretna forma wyrażająca się oczywiście wówczas w dobrowolności należącej do „stowarzyszenia” i w dobrowolności składek. Defoe we wszystkich swoich publicystycznych wystąpieniach propagował zagładę istniejącej już wtedy opieki społecznej, jako instytucji o partei na pewnego rodzaju filantropii państwowej, oraz wszelkich dobrowolnych przysięż wzajemnej pomocy, na korzyść organizacji nowej, obejmującej wszystkich zakresem swego działania.

Myśl ubezpieczeniowa różnymi szła drogami na terenie różnych państw, ale wszędzie bazowała na jednakowej płaszczyźnie, obrony interesów warstwy ekonomicznej najsłabszej, warstwy pracowników najemnych. Stworzył ją — sama myśl i pracę najemna — rozwój techniki przemysłowej i kapitalizm. Na tym tle sformułowany program Defoe'go coraz częściej omawiany był w parlamencie, coraz częściej myśl ubezpieczeniowa znajdowała wyraz w nowych projektach, które ogólnie charakteryzując niezasadność finansowa. Bowiem nawet powierzchowne badania wykazały niemożność ekonomicznego oparcia tej nowej organizacji na składce ubezpieczonych, a nie przyszedł na myśl ówczesnym twórcom idei ubezpieczeniowej pomysł sięgnięcia do kas pracodawców. A gdy wreszcie w końcu XVII w. a więc po stu latach teoretycznych rozważań, John Vanconver przystąpił z projektem zobowiązania przemysłowców do opłacania składek na rzecz swych pracowników, realny jego pomysł utonął w powodzi niewatpliwie oryginalnych, ale nie mających żadnych szans na urzeczywistnienie utopijnych koncepcji. Dopiero wiek XX i urzędowe narodziny niemieckich ubezpieczeń społecznych stworzyły podstawę do ich realizacji na terenie W. Brytanii.

Zaznaczyć trzeba, że mimo całkiem specjalnych warunków w jakich znajdował się naród Polski w omawianym czasie, Polska myśl ubezpieczeniowa zjawiała się także na początku XIX w. Wszystkie projekty miały lub więcej fantastyczne posiadają te zasadnicze i do dnia dzisiejszego najaktualniejsze cechy: przymusowość i powszechność.

Idee społeczne choć posiadały początkowo charakter wzniosłych utopii, nie powstawały w próżni, w oderwaniu od zespołu spraw i zagadnień wstrząsających ówczesnymi społeczeństwami. Rodziły się one w orbicie spraw ekonomicznych i politycznych. Były wynikiem nawiązywania się zjawisk rozwojowych, narastających konfliktów klasowych. Były logiczną konsekwencją wytykającą z obowiązków narzuconych przez Państwo warstwowo dotychczas politycznie biernym, które zaczął zaczynać uprawnień jako rekompensat za ich spełnienie.

Ustrój polityczny zbudowany na przywilejach stanowych musiał runąć z chwilą kiedy do obrony granic nie wystarczała armia zawodowa. Broń dana do ręki żołnierzowi w potrzebie państwowej, symbolizując już nie została z niej wytracona. Ruchy wolnościowe w XIX w. w oparciu o zróżniczkowanie klasowe powstałe wcześniej na tle wzmożonej industrializacji państw, niesłuchany rozwój kapitalizmu, to wszystko powodowało zmianę w psychice mas, która Państwo musiało uwzględnić przez rozszerzenie działalności idącej w kierunku ograniczenia wysiłku jednej warstwy przez drugą. Państwo uległo naciskowi politycznemu tego odłamu społeczeństwa, dla którego potrzeba ustaw społecznych była wyrazem zdobyczy klasowych. Dlatego właśnie utrwał się pogląd, że ustawodawstwo socjalne, jego powstanie i rozbudowa, jest wynikiem pewnej sumy zjawisk o charakterze socjalistycznym. Ale jest to dopiero pierwsza prawda na ten temat.

Paradoksem wydać się może na pierwszy rzut oka fakt, że nie kto inny, a żelazny kanclerz Bismarck ten właśnie, który bez namietnej racji stanu podporządkowywał całość polityki państwowej, on właśnie jest pierwszym realizatorem ubezpieczeń społecznych. Ubezpieczeń, które nie są fragmentem ustawodawstwa socjalnego, a jego głównym trzonem, więcej nawet narzędziem polityki społecznej. Fakt ten jest dowodem, że potrzeba ustawodawstwa socjalnego dojrzała i nie spozostanie jej przez Państwo, grozić mogło poważnymi konfliktami.

Okres pierwszej wojny światowej charakteryzując generalnie zahamowanie rozwoju ustawodawstwa socjalnego. Wysiłek militarny narodów niezależnie po której stronie barykady one stały, pochłaniał bez reszty siły i uwagę wszystkich zdolnych do walki i pracy. A po zakończeniu działań wojennych, zupełnie niespodziewanie, nastąpiło zdruzgotanie od podstaw polityki społecznej. To natomiast co się w tym okresie nazywało ustawodawstwem socjalnym, było w stosunku do potrzeb, a właściwie niezbędnych konieczności, karykatura. Polityka Państw wkroczyła na drogę społecznej liberalizacji.

Dla ubezpieczeń społecznych rozpoczął się okres ostrego kierunku rewizjonistycznego. Istniały wprowadzić dwie sprzeczne tendencje. Jedną dążącą do rozwoju, do ujęcia w nowe formy ubezpieczeń, formy któreby od-

powiadały potrzebom i były dopasowane do zmian strukturalnych w gospodarce państwowej. Druga zaś głosiła potrzebę reform. Kryzys gospodarczy przyszedł w pomoc tendencji reformatorskiej, która nie była niczym innym jak zrezygnacją upozorowanym zasłaniającym się względami gospodarczymi, frontalnym likwidatorskim atakiem na ubezpieczenia.

Dwa te kierunki walczyły ze sobą w okresie międzywojennym z różnym szczęściem, ale walka ta nie była twórczym ścieraniem się poglądów mającym na celu udoskonalenie przedmiotu sporu. Chodziło o podcięcie samych zasad i stopniowa likwidację. W okresie tym ubezpieczenia były reformowane. Były decentralizowane, centralizowane, była cała literatura w obronie poszczególnych zmian, ale przynajmniej trzeba, że ani atak, ani obrona nie zrobiły z ubezpieczeń tego czym one właściwie być powinny. Zmiany były polowiczne i szły raczej w kierunku usprawnienia administracji, dziedziny bardzo ważnej, ale nie wnoszącej nic nowego w samą zasadę, mającą wiele punktów niewrażliwych. Wystarczy tu wymienić jeden, a mianowicie mocno problematyczną zasadę zabezpieczenia minimum egzystencji.

To wszystko nie znaczy bynajmniej, że w zakresie prac konkretnych nie uczyniono niczego poza rozwiązywaniem zagadnień organizacyjnych. W tym bowiem okresie wprowadzono w życie na całym terenie Państwa ubezpieczenia emerytalne robotników przez myślowych. Podwyższono wysokość rent inwalidzkich w tym samym rodzaju ubezpieczenia, opartych o przepisy niemieckie i w wojędznych zachodnich. Ujednolicono na całym terytorium Państwa ubezpieczenie wypadkowe. Zapoczątkowano akcje ubezpieczenia pracy. Wspierano bogate piśmiennictwo ubezpieczeniowe oświetlające problemy wymagające rozwiązania w najbliższej przyszłości itd. Wynika z tego, że rozwiązywano szereg zagadnień o wielkiej doniosłości, odbywało się to jednak przy pewnym kryzysie zaufania. Wszelka działalność, jeśli nie wywołała opozycji w pewnych sferach, to przechodziła bez żadnego wrażenia, bez efektu. Obojętność ta miała swoje psychologiczne usprawiedliwienie, w trudnych warunkach finansowych, w jakich brnęła większość społeczeństwa. Apatia w odniesieniu

do wszelkich półśrodków jakie stosowano w celu zażegnania zła, nie pozwalała spojrzeć z zainteresowaniem i rzeczową krytyką na osiągnięcia, które warte były aby zwrócić na nie uwagę. Społeczeństwo umiarkowanie występowało w obronie swych postulatów, a wszelka akcja nosząca na pozór cechy urzędowe kazała z góry zająć pewnego rodzaju wrogie stanowisko.

W drugą wojnę światową ubezpieczenia wkroczyły jako generalny winowajca. Wada była sztywność obciążenia, nieodpowiednie dysponowanie kapitałem ubezpieczeniowym, niedostateczna wysokość świadczeń.

Koniec wojny przyniósł tak zasadnicze i gruntowne zmiany w polityce, w strukturze gospodarce, w układzie stosunków społecznych, że powstała zupełnie nowa nieznana w naszej państwowości punkt widzenia na dziedzinie ustawodawstwa socjalnego, którego rozwój dotychczas odbywał się pod bezpośrednim naciskiem politycznego ruchu robotniczego. Pewne aspekty odpadły. Oparcie władzy państwowej na „warstwach chronionych” dotychczas przed wyzyskiem przez ustawodawstwo społeczne, upaństwowienie przemysłu, który stwarza warstwę pracowników najemnych, stawia te rzesze pracowników, pozbawionych obecnie bojowej postawy wobec prawodawcy, w pozycji rzeczonej wyciekającej.

Sytuacja finansowa ubezpieczeń społecznych nie jest dla nikogo tajemnicą i dlatego pierwszy etap działalności powojennej to walka z trudnościami natury zasadniczej i konkretnej, a kiedy przyjdzie etap uporządkowania idei w drodze otwartej dyskusji, koniecznym jest przeprowadzenie badań naukowych, w przeciwnym razie wszelkie dowodzenia, jak to miało miejsce przed wojną, będą miały tylko wartość publicystyczną, bowiem wysuwane koncepcje reformatorskie nie oparte na rzetelnym badaniach naukowych, może sprowadzić walkę o ubezpieczenia na manowce.

Powojenny roczny żywot ubezpieczeń społecznych cechuje pewien rozmach. Zmiany wprowadzone już w życie dotyczą podstawowych postulatów ubezpieczeniowych. Przed wojenną walką o powszechność ubezpieczeń, o zasadniczą i najcharakterystyczniejszą ich cechę, przystępującą ubezpieczenia do roli jaka postawiły przed sobą, roli na-

rzędzia polityki społecznej, osiągnęła obecnie duży sukces. Obowiązek ubezpieczenia pełnego, czyli obejmującego wszystkie ryzyka rozciągnięty został na pracowników rolnych. Funkcjonariusze państwowi objęci zostali ubezpieczeniem chorobowym. Zniesiona została również górna granica uposażenia do wymiaru składek ubezpieczeniowych. W zakresie zapewnienia minimum egzystencji są także ustulowania, aby zadaniem tym sprostać. Zwiększony wymiar rent, z tendencją do zlikwidowania różnicy co do wysokości świadczeń w różnych rodzajach, oraz zapowiedź dalszej zwyczajki w miarę poprawy finansowej sytuacji ubezpieczeń, pozwala z pewnym optymizmem myśleć o przyszłości, zwłaszcza, jeśli w dalszym ciągu postulat powszechności będzie uwzględniany.

Najdonioślejszą jednak zmianą jest obciążenie pracodawców pełnymi składkami ubezpieczeniowymi. Fakt, który przed wojną nie tylko nie mógł mieć miejsca, ale bez przesady twierdzić można, że żądania takiego nie wysunąłby najgorętszy ideowiec, w momencie najbardziej fantastycznych rozmyślań na tematy ubezpieczeniowe. Temu się nie da zaprzeczyć. Nie bez wpływu jest tu zasadniczo różna struktura gospodarce Państwa, wyrażająca się w upaństwowieniu całego niemal przemysłu. W ten sposób Państwo, które tylko częściowo brało udział w finansach ubezpieczeniowych (zaopatrzenia ze Skarbu Państwa), obecnie jako „generalny” pracodawca zaangażowane jest w nich w poważnym procencie.

Sprawa ogromnej doniosłości jest wskrzeszenie pogrzebanego, przez rzady komisaryczne, samorządu ubezpieczeniowego. Udział więc czynnika społecznego w zarządzie instytucji symbolizująca postęp społeczny, wnikanie wzbudzić życiwe zainteresowanie wśród społeczeństwa dla samej organizacji ubezpieczeniowej i wszystkich przejawów jej działalności.

Sa to więc zmiany jak na start bardzo poważne.

Jaka jest najbliższa przyszłość ubezpieczeń? Realizowanie zasadniczych postulatów: powszechność, przymus, urealnienie świadczeń, słowem ubezpieczenia wkroczyć muszą na drogę, na której wykazała beda mogły wszystkie swe pozytywne cechy, bo tylko w ten sposób po zdobyciu zaufania, będą mogły spełniać rolę do jakiej zostały powołane. Dzisiejsze Państwo ze względów zasadniczych musi ubezpieczenia wziąć w opiekę, ponieważ pozostawienie ich własnemu losowi, podrywałoby jedną z naczelnych zasad, na których opiera się jego autorytet,

Bronisław Kamiński

Próba dobrej woli

(Od naszego korespondenta z Francji)

Po ostatniej wojnie istniały wszelkie dane, aby sądzić, iż między Francją i Anglią nastąpi okres długotrwałej i ścisłej przyjaźni. Niestety, polityka względem Niemiec zaczęła już parę miesięcy po zakończeniu działań zbrojnych dzielić oba kraje. Żądania Francji wobec Niemiec są całkowicie zrozumiałe i całkowicie uzasadnione jest bowiem narodu francuskiego przed możliwością odrodzenia się potęgi wojennej Niemiec, natomiast niezrozumiałą stała się dla ludzi prostych, łaknących wolności i szczęścia dziwna pro-niemiecka niekonsekwentna polityka Anglii. Brak węgla we Francji i w związku z tym niemożność rozwinięcia należącego tempa produkcji skłoniły rząd francuski do żądania węgla z zagłębia Ruhry, żądania włączenia zagłębia Saary w granice ekonomiczne Francji. Przeciwno tym żądaniom Francji wystąpiła jej sojuszniczka Anglia. Oczywiście wywołało to dysonans między nastrojami obu narodów. Przez długie miesiące prasa francuska przepelniona była atakami i ironicznymi uwagami na temat polityki Anglii. Dla opinii francuskiej było jasnym, że socjalistyczny rząd angielski prowadzi na odcinku polityki zagranicznej dalej imperia-listyczną grę reakcyjną, która liczy się tylko z interesem, a nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością.

Na tle tego konfliktu i rozezarowania podróż Leona Bluma do Anglii była dla szerszego ogółu co najmniej niespodzianką. Każdy Francuz zdawał i zdaje sobie sprawę z konieczności przyjaznego współżycia z brytyjskim sąsiadem, ale napewno żaden z nich nie chciałby wyrzec się słusznych pretensji w sprawie Niemiec. Leon Blum nawiązał rozmowy na temat nowego paktu przyjaźni i w końcu po długich pertraktacjach pakt ten został podpisany przez ministrów Bevina i Bidault.

Dla Anglii pakt ten niewatpliwie oznacza pewne ustępstwa względem Francji na terenie Niemiec. Z tego punktu widzenia jest to pewien zupełnie zdecydowany zwrot w polityce brytyjskiej. Chyba żaden z polityków nie ulega więcej złudzeniu o potęgę impe-

rium Jego Królewskiej Mości. W naszych oczach imperium to rozlatuje się i skłonni jesteśmy przypuszczać, że nie socjalistyczna polityka Partii Pracy, która właśnie okazała się na odcinku polityki zagranicznej wielce sprzeczna z socjalizmem, ale konieczność historyczna i niemożliwość opanowania sytuacji przez Wielką Brytanię wycofać się z Indii i innych krajów. Otóż pakt z Francją dowodzi, że w Wielkiej Brytanii zdano sobie sprawę ze zmniejszonej roli, jaka przypadła jej w udziale i aby bronić swojej niezależnej pozycji Anglia gotowa jest związać się z Francją i z nią bronić swojej niezależności politycznej.

Nikt z Anglików nie chce się przyznać do upadku imperium, ale napewno niezbyt przyjemnie słuchać im, względnie czytać sprawozdań z posiedzeń Kongresu amerykańskiego, na którym ostatnio jeden z senatorów wyraźnie zaproponował włączenie Wielkiej Brytanii w poczet Stanów Zjednoczonych. Tydzień temu Harold J. Laski, jeden z przywódców Partii Pracy, ogłosił artykuł w paryskim tygodniku Gavroche p.t. „Wobec Ameryki i Anglii musimy walczyć o swoją niezależność”. Sam tytuł najlepiej świadczy o nastrojach i problemach macierzy imperium. Niemcy stają się partnerem, na którego nie można liczyć natychmiast, któremu należy najpierw pomóc w odbudowie, aby po latach móc się na nim oprzeć. Ta perspektywa czasu zdecydowała o kierunku polityki brytyjskiej wobec Niemiec. Francja może być partnerem natychmiastowym i dlatego przyjaźń z nią jest aktualniejsza od wątpliwej przyjaźni z Niemcami. Interesy Niemiec zostały poświęcone dla interesów Francji.

Nie ulega jednak kwestii, że Anglia w miarę możliwości, o ile będzie mogła i o ile będzie wypadało, będzie popierać pewne postulaty Niemiec dla swojej wyraźnej korzyści na przyszłość, dlatego we Francji po smutnych rozezarowaniach ostatnich miesięcy nikt Anglii zbyt nie ufa.

Wszystkie partie Francji twierdzą, iż pakt przyjaźni nie jest bynajmniej

koalicją. Potrzeba bezpieczeństwa światowego i pokoju powszechnego dominuje obecnie wśród nastrojów francuskich.

Przyjaźń francusko - angielska dla Francuzów nie jest bynajmniej wejściem w okrzykany blok zachodni. Naród Francuski opiera swoją politykę również na pakcie ze Związkiem Sowieckim, jak i niewatpliwie zdąży do bliskiej współpracy z Polską i Czechosłowacją. Opinia publiczna sądzi, że porozumienie Paryża z Londynem to tylko fragment takiego samego porozumienia Londynu z Moskwą i Paryża z Moskwą, jest bowiem głębokie przekonanie wśród Francuzów, że takie trój-przymierze europejskie nie pozwoli już więcej na żadne ponure awantury w rodzaju awantury Mussoliniego i Hitlera.

Francja chce się odbudować i znowu osiągnąć dobrobyt gospodarczy, dlatego każde zacieśnienie współpracy międzynarodowej jest witane w Paryżu z niekłamana radością. Chyba najbardziej entuzjastycznie przyjętym byłoby we Francji zwiastowanie tak jak w czasie wojny wspólnej walki, tak teraz wspólnej budowy świata z wszystkimi wolnymi narodami Europy i świata.

Nazwałem ten artykuł próbą dobrej woli, pisząc bowiem te słowa miałem na myśli konferencję moskiewską w sprawie Niemiec. Ta konferencja miała wykazać na ile szczerą ze strony Anglii jest przyjaźń dla Francji. Jak daleko ta oficjalna przyjaźń pozwoli ministrowi Bevinowi pójść na rękę francuskim żądaniom. Staje się chyba jasne, że jedynie tylko Związek Sowiecki i Francja oprócz innych mniejszych państw, które chyba mają całkowite prawo do brania udziału w konferencji nad losami Niemiec, na prawdę ucierpiały przez inwazję hitlerowską i one na skutek swego położenia geograficznego są najbardziej zainteresowane w prawdziwym rozbrojeniu i demilitaryzowaniu Niemiec. Zakończenie konferencji pokreże, czy Anglię stać na prawdę na dobrą wolę.

Walerij Osmenda

DZISIEJSZA POEZJA CHŁOPSKA

1.

Kiedyś odbywała się we wsi zabawa i poszedłem się popatrzeć jak młode dziewczęta i chłopcy wywijają przy ciętej muzyce nieprzeżyte polki i oberki. I wówczas przytrafiło się, że na tę potańcówkę pod gołym niebem, na specjalnie do tego celu sporządzonej podłodze, zjawili się parę osób z pobliskiego miasteczka i wywijali wraz z młodzieżą większą w mordercznym tempie skoczne polki i oberki. Po krótkim jednak czasie, ci z miasteczka, znęcając się i poprosili o zagranie foxtrota lub tanga. Zyczenie to sprawiło muzykantom widoczny kłopot, nie chcąc jednak zniechęcać gości zagrali tango.

Tango to jednak, pomimo, że cieszyło się wielką popularnością i bodaj, że było powszechnie znane a przynajmniej jego melodia, przekształciło się znacznie w wykonaniu wsiowych grajków. Na czas trwania tej popularnej w miastach i miasteczkach melodii na deskach pozostał, poruszając się powoli, śpiewał jak gdyby jednym rytmem, jedynie ci z miasteczka.

Dziewczęta i chłopcy wiejscy przyglądali się z boku drwiąco, zamieniając między sobą niezbyt pochlebne uwagi.

Podczas trwania tego tanga zarzuciła się dość wyraźnie przede mną wówczas różnica pomiędzy wsią a miastem. To, co było nie widoczne podczas polki i oberki, uświadomiło się podczas tanga — przegrodę stanowiła obecność form i ich niezrozumienie.

Gdy melodia tanga skończyła się znowu polka. Deski zapelnily się znowu rumianymi dziewczętami i chłopcami, spódniczki rozwiewały się szeroko i słychać było głośno przypytywanie mocnymi nogami.

Mieszczuchy spoceni opuścili podłogę i przyglądali się w milczeniu z boku. Przeciwnieństwo było tu widoczne. Wiele lekceważyła tango, bo nie widziała w nim tego, co w swych ulubionych polkach i oberkach i ober-tasach najbardziej cenili — zadowolenia ze zdrowej uciechy aż do utraty tchu. Mieszczuchom zaś zawrotny rytm i latanie w skocznych przypytywanych polkach zdał się ponad ich siły.

— Czy było to skutkiem oddziaływania różnych wartości kulturalnych czy też było to dowodem ołbrzymiej energii wsi i znużenia miasta?

Granice podziału stanowiły tutaj formy. Energia i temperament wsi nie mogli się tu zmieścić w powolnych, prostych ruchach, podczas wykonywania których działała jeszcze na człowieka hamująca ciekliwa i niezrozumiała melodia. Lenistwo mieszczuchów natomiast protestowało przeciwko skocznyemu rytmem podkreślanym tętną i energią.

To nasunęło mi myśl wówczas, że wieś nie tak znowu bardzo skłonna jest przyjmować bez zastrzeżeń „wyższe” zdobyte kulturalne albo raczej cywilizacyjne nie dlatego, że trudno je dopasować do uczuć lub charakterów, ale raczej dlatego, że nie można w nich zmieścić żywego, mocnego temperamentu.

2.

Sens powyższego przykładu, przykładu który możemy obserwować bodaj na każdej wsi nie tylko u nas, wynurza się także bardzo wyraźnie na łamach „Wsi”. Choćby te zarzuty pod adresem dzisiejszych poetów i poezji chłopskiej lub ta troska wyrażana w dyskusji o „niezrozumiałym” na łamach „Wsi”. — Czy nie przemawia tutaj wyraźnie niechęć do panujących w dzisiejszej poezji sprawdzianów i form ulegających ciągłej ewolucji, zdefiniowaniu i przekształceniu formalnym, w których wyczuwa raczej niż rozumie siły, które jeśli przenikną do wsi to rozsadzą od wewnątrz i przeobrażą całkowicie życie duchowe chłopca? Zdało mi się, że tylko w ten sposób można rozumieć tę troskę.

Widzieliśmy, w przytoczonym przykładzie, że polki i oberki tańczyli zarówno młodzi chłopcy jak i mieszczanie, ale tango tańczyli tylko mieszczanie — fakt ten jest o tyle ważny, że pozwala sprawdzić te granice, poza które ambicje wsi nie wybiegają.

Znalezienie tych granic, tych form i tych kształtów, poza które wieś nie chce wyjść, przy których z uporem trwa nie chcąc ich rozbudowywać lub rozszerzać, których nie chce zmienić, upoważnia postępowych chłopów do uzmysłowienia sobie, że wieś sama w sobie pielęgnuje pieczołowicie pewien wycinek kultury narodowej, wspólny całemu narodowi i dla tego wycinka kultury, zwyczajów i obyczajów wzbrania się świadomie przed przejęciem nowszych form i w inny niż zna sposób sprzecywanym wartości artystycznych. Ta postawa wsi w stosunku do nowych form i wartości artystycznych jest podkreśleniem, że wieś ceni jedynie te formy i kształty, które wyrosły z niej i które są z nią ściśle zespolone.

Ta solidarność głosów w dyskusji o „niezrozumiałym” jest, bądź co bądź, zadziwiająca i dowodzi raczej „rozumiałym”, czyli znalezienia siebie samej — dla siebie.

Wobec tego zachodzi teraz potrzeba postawienia konkretnego pytania. — Jakże korzyści wypływają dla wsi ze stanowiska, jakie zajmuje w stosunku do dzisiejszej poezji chłopskiej?

Jesteśmy pokoleniem, które dźwiga w sobie zbyt tragiczną treść — lata głodu i niedostatku za czasów „wolności” po majowej, okupację i parę lat najstraszniejszej wojny, która w rezultacie wprowadziła nas w nowe wymiary, w których panują inne formy i inaczej oceniane są wartości.

— Czy istotnym celem tych nowych wymiarów jest mierzenie starych wartości czy tworzenie nowych?

Najfatalniejszym zarzutem w dyskusji o „niezrozumiałym” jest niczem nie uzasadniony zarzut pod adresem poezji chłopskiej wyrażony w słowach, że jest ona dla wsi niezrozumiała.

Trzeba sobie, bądź co bądź, uzmysłowić, że twórczość poetycka, obojętnie dla wsi czy nie, ażeby nią była musi zawierać w sobie kulturę duchową, wiedzę, inteligencję i tą osobliwą zdolność ukazywania rzeczy niedostrzegalnych, która nazywa się artystycznym. Zarzut „niezrozumiałym” jest właśnie tą strzałą zatrutą, skierowaną nieświadomie w twórczość poetów chłopskich, o której przecież nie można powiedzieć, że jest bezwartościowa, bo przecież wieś w swych poetach ma najpiękniejszych synów i piewów jej życia i jej piękna, którzy na odcinku kultury godnie ją reprezentują.

— Czy wobec tego zarzut „niezrozumiałym” nie jest wymierzony przeciwko sobie samemu, przeciwko wsi, która przecież rozumie i zdaje sobie z tego sprawę, że rewolucja społeczna przez reformę rolną i upaństwowienie przemysłu stworzyła jej nowy lepszy byt i otworzyła jej drzwi w wolny świat ku nowemu życiu, w którym nie wystarczy już napewno polka i oberek

3.

Od czasu do czasu jeżdżą pociągami. Podczas takiej jazdy pociągami można dużo zobaczyć, wiele się nauczyć a jeszcze więcej dowiedzieć się o życiu chłopów w różnych stronach kraju. Lwią częścią pasażerów są bowiem chłopcy. Wszyscy oni jeżdżą pociągami „szczecińskim” (na tej trasie naturalnie) na „zachód” — na Dolny Śląsk, w Poznańskie, na Pomorze. Wszyscy są zdrowi, silni, pomimo niewyspania, i mają wspaniały humor. Popalając „Wolność” lub „Bałtyk” gwarzą o swych gospodarstwach, o swej pracy, o krewnych, o znajomych, o tym co zrobili, co trzeba jeszcze zrobić. Mowa ich jest prosta, szczerą, nacechowana pewnością i z zadowoleniem wyczuwa się w niej radość i zadowolenie z życia. Jeden opowiada jak do niedawna nie miał nic, jak biedował i jak doszedł do tego, że dzisiaj ma dwie krowy, chowa świnię i, że na wiosnę myśli kupić konia.

Opowiada o żonie, o dziecku, które chowa się bardzo dobrze. Gdy nagada się wyjmuje bułkę i zajada z kiebasą, po czym popija piwem lub lemoniadą kupioną od chłopca półwłóczęgi na kolejowym szlaku.

Drugi opowiada, jak nie chciał się przesiedlić, jak żał mu było opuścić pola i chaty, koło Rzeszowa a teraz oto sam jedzie namówić swego przyjaciela, aby się przesiedlił w Pomorskie, bo — powiada — zawsze się człowiek inaczej czuje jak kogoś bliższego ma obok siebie do kogo można i pośmiać się, porozmawiać a oprócz tego — wiadomo — we dwóch zawsze inaczej się czuje.

Inny znowu powiada, że już przeszło rok jak wyjechał na „zachód” i od tego czasu nie zajął do swoich. Teraz jedzie odwiedzić starą matkę, która nie chciała jechać z nim, i wiezie jej coś w upominku.

Duży procent podróżnych to kobiety, które jadą z zachodu lub na zachód z mężami i dziećmi. Wszyscy oni rozmawiają poważnie nie wyrzucając słowa na próżno; słowa ich są jedne i wyrażają jakąś ciężkość a często są osobliwą w swoim rodzaju metaforą, w której mieści się potężny wysiłek, radość, duma.

Po takiej podróży, naprzykład, czytamy z prawdziwym wzruszeniem poezję chłopską a zwłaszcza poetów drukujących we „Wsi” i porównując ją poezję z własnymi przeżyciami i z przeżyciami chłopów z różnych zakątków kraju spostrzegam, że właśnie nowa poezja chłopska składa się z tych pierwotników, które tak wspaniale blizszą w pociągu.

W rozmowach tych słyszy się niekiedy dziwne zdania, bardzo często wspaniale skomponowane „kawały” i raduje uszy ołbrzymi rozrost języka, w którym wyczuwa się nawet przewartościowanie pewnych pojęć uchodzących za niewzruszone.

Każda rzeczywistość uczy po swojemu. Nasza rzeczywistość uczy nasz lud i tą prawdę widać dzisiaj bardzo dobrze. Zaznacza się ona wyraźnie obaleniem oplotka nędznej kurnej przedwojennej chaty, śmiałym spojrzaniem w przyszłość i pewnością w zamiarach, które w ustach dzisiejszych chłopów są zaledwie pewną określoną przestrzenią czasu.

— Czyż to nie jest ta nowa poezja chłopska? Ten pociąg, nabity ludźmi do ostatniego miejsca, nieoświetlony, z pozabijanymi bardzo często oknami, spóźniający się nawet, ten pociąg biegnie od jednego dużego miasta do drugiego, oddzielenego o setki kilometrów, ale w rzeczywistości ten pociąg łączy dzisiaj dwie wsi — wieś starą z wsią nową, która powstaje wysiłkiem najpracowitszych chłopów. I to jest właśnie poezja, dzisiejsza nowa poezja chłopska.

4.

Wołający o „rozumiałą” poezję dla wsi wcielają o te formy i te kształty, które we wczorajszej wsi, ograniczonej pod każdym względem, były częścią składową folkloru — o regionalne czy miejscowe zasklepienie, które może być tylko wyrazem, rysem charakteru czy temperamentu regionalnego czy miejscowego, ale nigdy nie może dać prawdziwych, na miarę poezji mierzonych, wartości. Folklor bowiem pomimo niezaprzeczonego piękna, uroku, temperamentu i prostych nawiązanych form, przemawiających wprost do serca, jest bierny w stosunku do teraźniejszości, którą żyjemy, gdyż w zasadzie opiera się o przeszłość. Przeszłość zaś nigdy, nawet przez najlepszego poetę, nie odda nam tych wartości, którymi żyjemy w danej chwili, nie utrwali rytmu naszej pracy w naszej krwi, nie pobudzi naszego umysłu, to co nam dać może to trochę odprężenia i zapomnienia.

Takie stanowisko nie dowodzi bynajmniej abyśmy mieli wyrzucić się poezji regionalnej, poezji zrosniętej z środowiskiem czy grupą społeczną, które wytworzyły pewne wzorce artystyczne ludowe ale przeciwnie to stwierdzenie powinno nas uświadomić, że to środowisko czy grupa społeczna ma już wyrobione pojęcie o poezji i nie wolno je pozostawiać je dnie przy tych wzorcach gdyż groziło by to coraz większym zasklepieniem i odgraniczeniem się od siebie murem odrębności tych właśnie środowisk czy grup społecznych. To jedno. A teraz drugie. Każda wojna, każda rewolucja społeczna, nawet bezkrwawa, niszczy w dużym stopniu te niewidzialne granice środowisk czy grup społecznych, następuje przenikanie wzajemne regionalnych wartości artystycznych w szerszy zasięg co w konsekwencji przynosi rozrost jednych i zanikanie drugich.

Takie wołanie o poezję „rozumiałą” było by przechodzeniem z jednych form poetyckich do drugich dawno już przeżytych i przebrzmiałych; coż z tego gdy poezja chłopska oprze się znowu na Polu, jako na poezji, przypuścimy najbardziej „odpowiadającej”, „rozumiałej” lub na wartościach jej odpowiadających.

— Czy to było by dla wsi pożyteczne? Od tamtych wartości poetyckich oddziela nas już walka o wolność, świadoma walka o oblicze polityczne kraju, wieloletnie zmaganie się z najparzytliwszym wrogiem jakiegoś kiedykolwiek miała ludzkość i poczucie wolności ludowej, która przeobraziła nasze życie.

Ambicją dzisiejszej wsi powinno być podciągnięcie się do poezji dnia dzisiejszego, do poezji czynu a nie spadanie w przeszłość do poezji bierności i zniechęcenia.

Poza tym „niezrozumiałym” nakazuje wprost zaprzepaszczenie tych przepięknych wartości, które nie tylko poezję chłopską kształtowała będąc może przez wieki.

Nasze męczeństwo i walka, lub to, cośmy przeżywali podczas okupacji niemieckiej nie zawsze było dla nas zrozumięciem, nie mamy jednak prawa żądać od poetów chłopskich aby porzucili tą tematykę lub uciekali do jej najistotniejszych wartości po to aby jaknajbardziej uprzyjemnić nam swoją poezję. Taka poezja dała by nam stosunkowo niewiele.

Po kursie praca na koloniach jest płatna. Nie zwlekajcie więc i zgłaszajcie się jak najprędzej do Centrali Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie, ul. Śniadeckich 23, załączając krótki życiorys z zaznaczeniem ukończonej szkoły, lub kursów oraz pracy w organizacjach.

Wiel musi się zdobyć na własnych wychowawców i wychowawczyń na akcje letnią dla dzieci chłopskich.

To musi być ambicją Wiciarzy i Wiciarek i dlatego nie może Was zabraknąć na wszystkich kursach. Liczymy, że się na Was nie zawiedziemy i że w tej potrzebie zdacie egzamin z wyrobienia społecznego.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci

Z dziedziny szkolnictwa rolniczego

Potrzeba dostarczenia rolnictwu wykwalifikowanych pracowników w zakresie szkolnictwa rolniczego, agronomii społecznej i spółdzielczości rolniczej skłoniła W.W.O.R. w Krakowie do otwarcia na terenie tegoż województwa Państwowego Liceum Wiejsk. Gosp. Kob. w Zbylitowskiej Górze, pod Tarnowem.

Liceum to — jedyne tego typu na terenie województwa krakowskiego — pozostające pod odpowiednim kierownictwem tak pod względem pedagogicznym jak i fachowym i posiadające doskonały dobór sił nauczycielskich — daje rękomię należytego przygotowania przyszłych pionierów życia gospodarczego, społecznego i kulturalno-oświatowego wsi polskiej.

Liceum znajduje się w pięknej podgórskiej okolicy w nowoczesnie urządzonej budynku Zakładu wychowawczo - naukowego Zgrom. Najśw. Serca Jezusowego, i jest wyposażone w bogato zaopatrzone pracownie: fizyczną, chemiczną i biologiczną. Zajęcia praktyczne z dziedziny rolnictwa, ogrodnictwa i hodowli odbywają uczennice w doskonałe prowadzonym gospodarstwie rolnym Zakładu.

Liceum prowadzi w b. r. szk. I-szą kl. licealną, a chcąc przyjąć z pomocą kandydatkom do przyszłorocznego I-jej kl. licealnej nie posiadającym pełnych kwalifikacji (ukończonej III kl. — dawniej IV-jej) organizuje od 8 marca do 30 czerwca b. r. kurs przygotowawczy dla kandydatek z ukończonym 16-stym rokiem życia.

Na kurs mogą być przyjęte:

a) Uczennice uczęszczające obecnie do kl. III-jej gimn. a mające trudności z opanowaniem języka łacińskiego i obcego i wskutek tego zagrożone nie uzyskaniem promocji.

b) Kandydatki mające ukończoną II-ą kl. gimn. i obecnie nie uczęszczające do żadnej szkoły.

c) Kandydatki z ukończoną I-ą kl. gimn., które przy egzaminie wstępnym na kurs wykazały dostateczny zasób wiadomości i odpowiedni rozwój umysłowy.

Ukończenie tego kursu z wynikiem dodatnim da kandydatkom prawo wstępu do I-jej kl. Państwowego Liceum Wiejsk. Gosp. Kob. w Zbylitowskiej Górze.

Uczennice znajdujące pomieszczenie w internacie szkolnym za zwrotem rzeczywistych kosztów utrzymania.

Nauka na kursie jest bezpłatna.

Uczelnia tą powinna się zainteresować przede wszystkim młodzież żeńska, która pragnie pracować dla lepszej przyszłości wsi polskiej i której zależy na jak najszerszym uzyskaniu państwowego, samodzielnego stanowiska a jest ono zapewnione natychmiast po ukończeniu liceum.

Książki nadesłane

Wydawnictwa „Czytelnika”:

Czesław J. Centkiewicz — Biała Foka, str. 210.

Jerzy Pyłakowski — Wielki cień, str. 284.

Jarosław Iwaszkiewicz — Wiersze wybrane, str. 239.

Leon Pasternak — Rzeź niewiniątek, str. 127.

Jerzy Zawieyski — Noc Huberta, str. 215.

Stefan Żeromski — Nowele, opowiadania i fragmenty, str. 326.

Stanisław Śreniowski — Dzieje chłopów, str. 156.

Jan Parandowski — Niebo w płomieniach, str. 279.

Stefan Tworowski — Architektura wsi, str. 159.

Wydawnictwa „Książki”:

Jan Dylik — Geografia Ziemi Odzyskanych, str. 307 z mapami.

Jan Dembowski — Nauka radziecka, str. 232.

Irena Mrzań — Moja praca w domu dziecka, str. 97.

Ryszard Broniewski — Komuna Paryska (z rysunkami Władysława Daszewskiego, nrb.).

Zofia Charszewska — Franek i jego pies, str. 98.

B. A. Keller — Narodziny życia, str. 58.

Po konferencji poczdamskiej, str. 59.

Administracja tyg. „Wieś” w związku z

podwyżką ceny papieru jest zmuszona podnieść cenę numeru do 10 zł. W związku z tym

podwyższona została prenumerata,

PRENUMERATA „WIEŚ”:

miesięcznie 40 zł

kwartalnie 120 zł

półrocznie 240 zł

Należność należy wpłacać przekazem pocztowym na konto Nr PKO VII-1080.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.

Redaguje Komitet

Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000.

Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96. i p., telefon 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” —

Łódź, ul. Żwirki 2, D-012940

Apel do Wiciarzy i Wiciarek

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci przystępuje do zorganizowania w całym kraju w czasie lata kolonii, półkolonii i dziecińców dla dzieci chłopskich. Pragniemy jak największą ilość dzieci wyciągnąć z ziemianek, bunkrów i kłepko sklepanych leplanek, gdzie im tegoroczna zima i ostatnia powódź srogo dckuczyła i dokonała w ich zdrowiu ogromnego spustoszenia.

Dzieci starsze z terenów zniszczonych będą wysyłane na kolonie, gdzie otrzymają dobre wyżywienie, opiekę i rozrywkę. Poprawią tam swoje zdrowie i nabiorą sił na dalszy okres życia. Dzieci młodsze znajdują przez okres prac żniwnych opiekę w dziecińcach.

Do przeprowadzenia tej akcji trzeba będzie większej liczby wychowawców. Chcemy, żeby to byli ludzie ze wsi. Dlatego organizujemy kursy dla wychowawców i wychowawczyń na koloniach letnich, na które zapraszamy młodzież wiejską i wołamy:

Komu leży na sercu dobro dzieci wiejskich niech się zgłasza na nasze kursy.

Kursy te trwają 3 do 4 tygodni. Wobec dużego zapotrzebowania będziemy również

przyjmowali młodzież z ukończoną szkołą powszechną, byle miała dobre chęci. Oczywiście większe możliwości mają wychowankowie i wychowawki szkół rolniczych, uniwersyteckich i innych, którzy w wyrobieniu w pracy społecznej i w utrzymaniu na kursach jest bezpłatne.

Po kursie praca na koloniach jest płatna.

Nie zwlekajcie więc i zgłaszajcie się jak najprędzej do Centrali Chłopskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie, ul. Śniadeckich 23, załączając krótki życiorys z zaznaczeniem ukończonej szkoły, lub kursów oraz pracy w organizacjach.

Wiel musi się zdobyć na własnych wychowawców i wychowawczyń na akcje letnią dla dzieci chłopskich.

To musi być ambicją Wiciarzy i Wiciarek i dlatego nie może Was zabraknąć na wszystkich kursach. Liczymy, że się na Was nie zawiedziemy i że w tej potrzebie zdacie egzamin z wyrobienia społecznego.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci